BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Rocznie	(52 tomy) rs.	10
Półrocznie	(26 tomów) „	5
Kwartalnie	(13 tomów) „	2 kop 50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kw.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie	(52 tomy) rs.	12
Półrocznie	(26 tomów) „	6
Kwartalnie	(13 tomów) „	3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . .	rs. 6 kop. —	
Półrocznie (za 26 tomów) . .	„ 3 „ —	
Kwartalnie (za 13 tomów) . . .	„ 1 „ 50	

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

Główni współpracownicy:

Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.
№ 148.

W DNIACH WOJNY I GŁODU

Wspomnienia

Józefa Tokarzewicza
(Hodiego)

z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.



J. Tokarzewicz-Hodi



Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.
Redakcya i Administracya
47. Nowy-Świat 47.
1900.

6715



Józef Tokarzewicz

(Hodi).

W dniach wojny i głodu

WSPOMNIENIA


DAR

z przedmową

Teodora Jeske - Choińskiego.



WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy Świat 47.

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w DĄBROWIE GÓRNICZEJ
DKD
94(438).07 : 314.743(44) :929-051(438)A13
Nr inw. 2843
KOMPUTER

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Августа 1900 г.



—5715—

Józef Tokarzewicz.

(Hodi)

Temu lat dwa (w r. 1898) wyszedł nakładem p. S. Lewentala w „Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej" spory tom p. t. „Wybór prac literackich" Józefa Tokarzewicza (Hodiego). Tom ten ma być „wyborem," czyli najczystszym, najposilniejszym wyskokiem wszystkiego, co Tokarzewicz napisał w przeciągu lat dwudziestu pięciu (od roku 1872 — 1897). Nie zdaje mi się, żeby ten „wybór' był dobrze przez redakcyę „Biblioteki najcelniejszych utworów" wybranym.

Bo cóż znajdujemy w tym „wyborze?" Oprócz kilku studyów poważniejszych—prawie same artykuły dziennikarskie, wrażenia chwili, ilustracye wypadków i pojęć bieżących, korespondencye, streszczenia cudzych dzieł i t. p. „roboty."

A przecież Tokarzewicz nie był tylko dziennikarzem.

Na wyróżnienie i uznanie zasługuje studyum naukowe p. t. „U źródeł cywilizacyi," rozpoczynające szereg prac, pomieszczonych w „Wyborze."

Oparłszy się na badaniach Maksa Müllera, Fontane'a, Lassena, Schlegela, Muira, Adolfa Picteta i in. usiłował Tokarzewicz dotrzeć do samych źródeł szczepu aryjskiego.

Wiadomo, że nie wszyscy uczeni wywodzą rasyę aryjską z Azyi. Geiger, Spiegiel i Benfey chcieliby osadzić naszych praojców w ziemi niemieckiej, w Europie środkowej. Tę karkołomną hypotezę, nie wytrzymującą krytyki, pomija Tokarzewicz bardzo słusznie prostą wzmianką.

Hipoteza druga, broniona we Francyi przez Bouvaoufów, a przyjęta przez Fontane'a, wyprowadza Aryów z półwyspu Hindustańskiego.

Trzecia, podtrzymana przez Lassena, Schlegela, Muira i potrosze także przez Maksa Müllera, szuka pierwszego gniazda rodziny aryjskiej w Azyi środkowej, u źródeł Oksusa. Za hipotezą tą obstaje najżarliwiej uczony genewski, Adolf Pictet, autor dzieła p. t. „O początkach Aryów."

Lingwistyka i entografia porównawcza dowodzą, podług Picteta, że Irańczykowie zajmowali północno-wschodnią stronę tych siedzib, graniczącą z Sogdyaną ku Belutagowi i że wyparci z pierwszego gniazda przez rozrost ludności, posuwali się dalej ku szczytowi gór, a ztamtąd na zachód do Iranu. Obok nich w stronach południowo-wschodnich mieszkali Aryo-hindusowie, przytuleni do stoków himalajskich, ztąd przeszli później przez Kabulistan do Indyj. Na skraju południowo-zachodnim siedzieli Aryo-Pelazgowie (Grecy i Rzymianie), na zachodzie, w dzisiejszym chanacie Maimene, Celtowie, a w samym środku kraju, wzdłuż górnego Oksusu, Słowianie i Germanowie.

Oprócz topografii, są jeszcze inne świadectwa, pozwalające wierzyć hipotezie Picteta. Wszystkie jednak te świadectwa, dowody, przypuszczenia, wnioski i domysły należą do krainy hipotez naukowych. Bardzo też rozumnie twierdzi Tokarzewicz, że: „ze wszystkich tych poszlak kwestya pierwotnych siedzib Aryów wedyjskich, praojców całego szczepu indo-europejskiego, nie wyłania się dość jasno i dokładnie. Gdzie mianowicie żyli, jakie kraje zamieszkiwali, pozostanie to prawdopodobnie na zawsze przedmiotem sporu uczonych. Dowodów ścisłych, faktycznych być w tej mierze nie może, tymczasem z drugiej strony głęboka i ciemna przeszłość otacza zewsząd światła, które niegdyś biły z okien domów i „wat aryjskich."

Jako studyum poglądowe, jako sumienne, doskonale zestawione i oświetlone streszczenie wszyst-

kiego tego, co nauka wie o jutrzence Aryów, zasługuje „U źródeł cywilizacyi” Tokarzewicza na trwalszą pamięć. Przetrawił on wszystko, co w tym kierunku myślano, przeczuwano, badano i uporządkował przejrzyście, dzieląc się z czytelnikami polskimi rezultatami badań uczonych cudzoziemskich, nie był bynajmniej tylko niewolniczym sprawozdawcą, nie zrzekał się samodzielnego sądu. Gdzie zaszła potrzeba, lub gdzie miał inne mniemanie, wypowiedział bez ogródki swoje zdanie, uzasadniając je krytycznie.

„Barbarzyńską spuścizną wieków” (drugie stydyum, zawarte w „Wyborze”) nazywa Tokarzewicz „upośledzenie niewiasty.”

Emancypacya kobiet należała temu lat dwadzieścia kilka do t. zw. kwestyj palących, na którą rzucały się wszystkie gorętsze temperamenty publicystyczne, lubiące wrzawę polemiczną. I my mieliśmy swoją chwilę. poświęconą wyłącznie kobiecie, jej upośledzeniu i jej prawom naturalnym.

Kobieta była wistocie i jest dotąd pod względem prawnym upośledzoną. Kodeksy europejskie, uwalniając ją od służby wojskowej i państwowej, odmawiają jej godności obywatelki i obchodzą się z nią, jak z dzieckiem, jak z osobą niepełnoletnią

Rzecz szczególna, że Francya, ze wszystkich narodów europejskich najprzystępniejsza dla wszystkich „nowinek,” najskorsza do przewrotów społecznych, obchodzi się z kobietą najsurowiej Jak Jakób Rouseau mówi o niej, iż „stworzono ją w tym głównie celu, aby się mężczyznie podobała,” a Mirabeau, Danton i Robespierre, chociaż głosili zasadę bezwzlędnej równości, wykluczyli z niej zupełnie płeć piękną. I Napoleon I-szy nie był, jak wiadomo, zwolennikiem równouprawnienia kobiet, czego jasnym dowodem jego kodeks. Nawet Piotr Józef Proudhon, burzyciel wszystkiego, co zastał w swojej epoce, nawet Balzac i Dumas (syn) nie uznawali emancypacyi całej drugiej połowy rodzaju ludzkiego.

Proudhon uwielbiał kobietę. Żałuję—mówił—iż

nie posiadam pióra Lamartine'a, by opisać tę, którą wszechświat ubóstwia, na którą dziecko patrzeć nie może bez zachwytu, której wspomnienie opromienia uśmiechem niebiańskim oblicze starca. Kościół, przedstawiając, dziewicę, otoczoną cherubinami i depcącą węża-kusiciela, daje nam obraz niewiasty jak ją stworzyła przyroda. Jest ona piękną. Istota słaba, niezdolna do ciężkiej pracy, niezdolna do genialnych dociekań, ani do zajęć ściśle naukowych, staje się przez piękno czynnikiem i źródłem wszelkiej na ziemi sprawiedliwości, wszelkiej wiedzy, wszelkiego przedsięwzięcia, wszelkiej cnoty.

W kobiecie dusza nasza się odzwierciedla—mówi dalej Proudhon. Kobieta jest sumieniem mężczyzny, jest jego poezyą, jego uczuciem, młodością, natchnieniem. W jej obecności caly świat się do niego uśmiecha i raduje, bez niej wszystko bezbarwną okrywa się płachtą, a praca kajdaniarskim staje się ciężarem. Niewiasta jest stróżem naszej wiary, ołtarzem domowej świątyni. W jej ręce mężczyzna składa swoją uczciwość, swoją cześć, najgłębsze, najskrytsze swe pragnienia i nadzieje. Ona jest ideałem pobłażania i kapłanką poświęceń, ona skarbnicą naszej cnoty i archaniołem naszej genialności.

Mimo tego hymnu, wygłoszonego na cześć kobiety, a może właśnie dlatego nie jest Proudhon za emancypacyą niewieścią. Bo emancypacya, to trud po za domem, po za ogniskiem rodzinnem, którego żona i matka powinny być strażniczkami—to walka o byt zawsze brudna, nieszlachetna, ścierająca z duszy puch dobroci—to namiętności stronnicze, polityczne, ciskające obywatela w wir zawistnych intryg, drapieżnych agitacyj. A strażniczka ogniska domowego, poezya, sumienie, natchnienie, miłość i radość mężczyzny powinny być zawsze czyste, jasne, białe, niesplamione brudem tej ziemi.

Broniąc czystości domu, rodziny, zwalczał Proudhon emancypacyę kobiet.

Z „kwestyą” tą ma się rzecz tak samo, jak ze wszystkiemi prawie sprawami społecznemi. W teoryi trudno się na nie nie godzić, praktyka zaś wykazuje ich połowiczność, niedostateczność. Nie ulega wątpliwości, że kobieta powina być równouprawnioną mężczyznie, bo jest tak samo człowiekiem, jak on, a mimo to prawdą zostanie, iż każda kobieta prawdziwa zrzeknie się emancypacyi dla szczęścia rodzinnego. Treścią, duszą jej jest miłość i wszystko, co z tego źródła płynie, więc własny dom, mąż, dziecko. Każda niewiasta serdeczna pragnie być na pierwszem miejscu żoną, matką, a dopiero potem obywatelką. Tak nakazuje prawo natury, którego nie usuną, nie stłumią, nie pokonają najdowcipniejsze doktryny.

Bardzo dosadnie rozwiązał Bolesław Prus sprawę emancypacyi kobiet, kiedy kazał w swoich „Emancypantkach” głównej feministce, naczelniczce ruchu emancypacyjnego, wyjść za mąż i podawać mężowi pantofle bez szemrania, bez oporu, z radością.

Rozwiązanie to humorystyczne, dotkliwe może dla dam postępowych, ale ilustrujące doskonale rzecz samą. Najzagorzalsza feministka rzuci swoje doktryny i agitacye bez wahania, gdy się do niej szczęście rodzinne uśmiechnie.

Lecz ponieważ nie do wszystkich kobiet uśmiecha się to szczęście rodzinne, zwłaszcza w czasach ostatnich, w których proletaryat inteligentny nie kwapi się do małżeństwa, obawiając się ubóstwa, przeto powinno społeczeństwo otworzyć płci słabej wszystkie pola pracy, aby te z pomiędzy niewiast, którym los odmówił własnego domu, mogły bez przeszkody walczyć o prawo do życia.

I Tokarzewicz zajmuje wobec kwestyi emancypacyi niewieściej takie samo mniej więcej stanowisko pośrednie, godzące, tylko bowiem fanatycy mogą twierdzić bezwzględnie w sprawach, które nie znoszą reguły ustalonej, dającej się zastosować bez żadnych

wyjątków. A fanatykiem krańcowym, jaskrawym nie jest Tokarzewicz.

Jakkolwiek nie można go zaliczyć do zachowawców, ze wszystkich bowiem jego studyów, pomieszczonych w „Wyborze,” prześwieca wszędzie sympatya z poglądami i hasłami postępowemi czasów ostatnich, mimo to trudno mu odmówić wielkiej u publicystów cnoty... umiarkowania. Ogląda on każdą sprawę ze wszystkich stron, przypatruje jej się bardzo uważnie okiem krytycznem, własnem i stara się być, o ile to w możności człowieka, sprawiedliwym, bezstronnym. Nie unosi się, nigdy nie zapala, jako badacz społeczny, nie daje się „wziąć” cudzym mniemaniom, twierdzeniom, lecz usiluje wyrobić sobie o każdej rzeczy sąd własny, jak najszerszy, jak najwszechstronniejszy.

To jego umiarkowanie widzi się najwyraźniej w artykule p. t. „Wolność nauczania.”

Jest tu mowa o wolności nauczania we Francyi, która od czasów Ferry'ego zaczęła się sprzeniewierzać zasadom republikańskim, zasadom bezwzględnej, powszechnej równości.

Bardzo slusznie powiedział Proudhon: „Rządem jest tak samo w republikach, jak w każdym innym ustroju państwowym, partya, pewna grupa ludzi, jednostka w końcu, która na szczycie gmachu państwowego zasiadlszy, ztamtąd przetwarza pojęcia i instytucye na obraz swój i podobieństwo.”

Na szczycie gmachu państwowego zasiadla obecnie we Francyi burżoazya, kasta wszędzie i zawsze nawskroś materyalistyczna, oportunistyczna, przetrzeźwa, wroga idealniejszym poglądom na świat i życie. Burżoazya nie lubi Kościoła, duchowieństwa, widząc w Kościele slusznie przeciwnika pogoni za złotem, życiem dla użycia. Gniewa ją kontrola religii, zwracającej myśli człowieka ku niebu.

Więc aczkolwiek republika francuska uznaje zasadę wolnego nauczania, nie wykluczając z tej zasady nikogo, rząd francuski stara się wszelkiemi spo-

sobami ograniczyć tę zasadę, odnośnie do duchowieństwa.

Prawdą jest, że kiedy trzecia rzeczpospolita ogłosiła w r. 1875 zupełną wolność wychowania wyższego, duchowieństwo francuskie rzuciło się na to prawo z gorliwością apostoła. Jak grzyby po deszczu, wyrastały wszędzie wyższe szkoły katolickie, zostające pod nadzorem księży. Było ich wkrótce więcej, aniżeli rządowych.

Lecz można-ż z tego czynić zarzut duchowieństwu francuskiemu? Świadczy to raczej o jego żywotności, o energii i dziwić się trudno, że chce ono wyzyskać prawodawstwo w granicach legalnych do swoich celów. Wszakże posiada każdy rząd większe środki do walki z niewygodnym przeciwnikiem, aniżeli najsilniejsza grupa prywatna. Rządowi francuskiemu wolno konkurować z duchowieństwem, o ile to uważa za potrzebne, ale nie wolno mu wykluczać z zasady raz przyjętej całej korporacyi, należącej do składu państwa. Bo na cóż schodzi wówczas owa wolność nauczania, na co wogóle swobody republikańskie? Swobody, które są swobodami tylko dla pewnej grupy, przestają być swobodami. Nie ma w takim razie żadnej różnicy między rzeczpospolitą mieszczańską, a monarchią feodalną.

Zamiast walczyć z duchowieństwem godziwą bronią legalnej konkurencyi, rząd francuski, czyli burżoazya, zaczął już w pięć lat po ogłoszeniu wolności wyższego nauczania, szukać wybiegów, zwężać, ścieśniać ową wolność, tworzyć prawa wyjątkowe. Uniwersytetom wolnym odebrano na wniosek Ferry'ego, przyjęty 15-go marca 1880 r., nietylko prawo zasiadania w komisyach egzaminacyjnych, lecz nawet nazwę.

„Prawo Ferry'ego — dodaje od siebie Tokarzewicz — skierowane przeciw samorządowi prywatnych szkół wyższych, dopuściło się ze stanowiska powsze-

chnych swobód najcięższego politycznego grzechu: dwuznaczności przeniewierczej. Pod pretekstem, że wolność nauczania wyższego nie przyniosla w ciągu lat kilku owoców pożądanych, skazala ona zwiędnięcie wszelkie zgola nasiona liberalizmu."

I tak wszędzie i zawsze w każdej sprawie, którą rozstrzyga, stoi Tokarzewicz na stanowisku rozumnego umiarkowania, możliwej bezstronności, co przynosi zaszczyt trzeźwości jego sądu—i jego sprawiedliwości. Nie pozwalając unieść się nigdy zaciekłości stronniczej, dociera on do treści istotnej, do duszy każdej „kwestyi."

Nawet wrzawa nauk spolecznych drugiej polowy XIX stulecia nie zdołała go ogłuszyć.

W studyum p. t. „Samorząd społeczny, dawny i nowy" mówi on pomiędzy innemi: „Dzisiejszej metodzie badań dziejowo społecznych jest do zarzucenia, że dba o materyał o tyleż obfity i przeladowujący, o ile lichy. Powrót to jakby do dawnej erudycyi klasycznej, kiedy najprostsze twierdzenie potrzebowało dowodu z Tacyta lub Platona. Klasycyzm ustąpił tylko miejsca jakiemuś klasycyzmowi *sui generis*; zamiast przykładów ze starożytnej Grecyi i Rzymu, szukamy świadectw u dzikich plemion afrykańskich lub australijskich. Nowsza zwlaszcza szkoła angielska nadużywa latwej tej w naszych czasach wszechwiedzy antropologicznej i etnologicznej. Można sobie jeszcze wytłómaczyć podobną rozrzutność w historyozoficznych dociekaniach Buckle'a lub socyologicznych wywodach Spencera, bo gdzie chodzi o uwydatnienie praw, rządzących calą ludzkością, wolno tam ściągać dane ze wszystkich krańców ziemi i dla obalenia jednego twierdzenia Leibnitza o harmonii światów przytaczać tuziny faktów z życia Andamańczyków, Azteków, Buszmanów, Czuwasów, harmonię tę obalających. Ale jeżeli taki proceder ma za sobą przynajmniej pozory sluszności tam wszędzie, gdzie zadanie rozpostarte zostalo do

rozmiarów wszechludzkich albo i dalej, aż do ostatnich granic organicznego życia na naszym planecie, to już podobne wotowanie nie daje się wcale zrozumieć w zagadnieniach specyalnych, dotyczących naprzykład tegoczesnego naszego ustroju towarzyskiego lub istniejących za dni naszych kierunków umysłowych. Bo i cóż tu robić może fakt lub tysiące faktów ze społecznej lub moralnej działalności Czeremisów i Papuasów? W jakim prostym lub ubocznym stosunku pozostawać mogą do nas — synów wieku XIX, mających przed sobą historyę własnych usiłowań, rozwijającą się z pokolenia w pokolenie wstecz aż do kolebki rodu, aż do pierwszych brzasków cywilizacyi praojców, pośród ich siedzib Azyi środkowej,—w jakim, pytam, stosunku zostawać do nas mają liczne, zmienne, dorywcze przejawy ducha lub myśli wszystkich owych Fidżanów, Kakiraków, Krumirów lub Zulusów?

W słowach tych zawarł Tokarzewicz bardzo doraźną krytykę metody wiedzy ostatnich lat pięćdziesięciu, uganiającej się przeważnie za faktami i faktcikami.

Z danych biograficznych Józefa Tokarzewicza (Hodiego) możnaby spleść bardzo ciekawą, bardzo zajmującą powieść. Gdzie nie był, czego nie widział, czego nie robił! Był na wozie i pod wozem, walczył o byt, jak Syzyf, spychany ciągle wypadkami na dół góry życia.

Urodzony dnia 28 grudnia 1841 r. w Bielsku podlaskim, nauki elementarne odbył w szkółce parafialnej miasteczka rodzinnego, nauki zaś średnie w szkole pięcioklasowej w Drohiczynie, i w gimnazyum klasycznem w Białymstoku. Ukończywszy studya gimnazyalne w r. 1860, udał się do Moskwy, do uniwersytetu, gdzie zapisał się na wydział matematyczny, lecz słuchał wykładów prawnych i filologicznych. W roku 1863-cim wyjechał do Krakowa, zkąd udał się do Paryża. Tu, nad Sekwaną, wstą-

pił do wyższej szkoły na Montparnasse, z której wydalono go za redagowanie pisemka studenckiego p. t. „Montparnasse.” W r. 1866 wydawał w Paryżu pismo p. t. „Przyszłość”, w r. 1867 redagował „Gońca”, drukowanego w Genewie, i był równocześnie urzędnikiem na kolei orleańskiej, w wydziale ruchu, w r. 1868 objął redakcyę „Niepodległości” i prowadził to pismo aż do wojny francusko-niemieckiej (1870), podczas wojny zaciągnął się do gwardyi narodowej paryzkiej i służył w 207 batalionie obok b. generała b. wojsk polskich, Waligórskiego. Posądzony niesłusznie o udział w komunie, dostał się do więzienia, w którem przebył pół roku. Uwolniony, zaczął pisywać do pism galicyjskich (do „Kraju” krakowskiego) i warszawskich (do „Kłosów“) korespondencye pod pseudonimem Hodiego.

Wiosnę 1872 roku przepędził Tokarzewicz w Szwajcaryi, Belgii i Anglii. W r. 1878 redagował w Paryżu „Listy polskie“. W owym czasie wydał kilka broszur pod pseudonimem Bazylego Niebiésta („Prawa siły“, „Wstecznictwo“ i in.), dopełniając skąpe dochody literackie dochodami z innych źródeł, pracował w kantorze komisowym i agencyi ogłoszeń Adama Ciborowskiego, a nawet był czas pewien zecerem w drukarni Reiffa.

Opuściwszy w r. 1882 Francyę, zwiedził Tokarzewicz Galicyę, Szlązk, Poznańskie i wrócił w r. 1883 do kraju rodzinnego. Przez dwa lata pracował w Petersburgu, w „Kraju“, następnie przeniósł się do Warszawy, gdzie zastępował w „Kłosach“ Adama Pługa w r. 1886.

W roku 1894 osiadł Tokarzewicz w Grodzisku pod Warszawą, gdzie dotąd mieszka i zkąd zasila korespondencyami, artykułami i studyami pisma warszawskie.

W roku 1881 wydał Tokarzewicz powieść p. t. „Pan Ślepy Paweł“, a w lat dziesięć później (w roku 1891) powieść drugą p. t. „Pan Głuchy Gaweł.“

Teodor Jeske-Choiński.

I.

Doba fatalna.

O godzinie 2-ej z południa 12 lipca 1870 roku otrzymano w Madrycie depeszę ks. Antoniego Hohenzollern-Sigmaringen, oznajmiającą, że syn jego, ks. Leopold, zrzeka się wszelkich praw i uroszczeń do tronu hiszpańskiego. W parę godzin później szef gabinetu francuskiego, Emil Olivier, wiadomość tę zakomunikował ciału prawodawczemu, które ją przyjęło z oznakami zadowolenia, jako zapowiedź polubownego załatwienia zatargu. Prezes gabinetu i jego przyjaciele głośno cieszyli się z tego rozwiązania, wiedzieli bowiem z zarządzonego dochodzenia w całej Francyi, że z liczby 86 departamentów zaledwie 16 pragnie wojny...

Gdzież tu jest choćby najdrobniejszy promyk owego „pięknego poranku", o którym w kilkanaście lat później pisał feldmarszałek Moltke w tem znaczeniu, jakoby naród francuzki wypowiedział był wojnę z lekkomyślnością i fantazyą dzieci wybierających się na przechadzkę wojenną?

Lekkomyślności, fantazyi nie zabrakło wprawdzie, lecz jedynie w najbliższem otoczeniu starych bonapartystów, w garstce wojskowych, podrażnionych tem, że pierwszy konstytucyjny gabinet Napoleona III-go tak oto świetnie wywikłał się z trudności. Oni to, popierani przez cesarzowę, nieprzyjaciółkę Prus protestanckich i zwolenniczkę sojuszu z Austryą katolicką, zażądali na radzie prywatnej, odbytej tegoż dnia w Tuilleryach, ażeby król Wilhelm złożył zaręczenie, że incydent z kandydaturą hiszpańską nie powtórzy się w przyszłości. Wniosek się utrzymał. Książę Grammont, minister spraw zagranicznych, udał się natychmiast do bar. Wertera, ambasadora pruskiego w Paryżu, z żądaniem rękojmi pod postacią własnoręcznego listu króla do Napoleona. Była to propozycya obrażająca i nie dziw, że doręczona królowi Wilhelmowi zbyt skwapliwie (w Ems, w południe 13-go lipca), dotknęła go do żywego. Jeszcze tegoż dnia zrana Benedetti, ambasador francuski przy dworze berlińskim, miał posłuchanie u króla i nie zauważył był ani w jego słowach, ani w jego zachowaniu się najmniejszego uprzedzenia lub goryczy. Owszem, z największą uprzejmością monarcha zapewnił, że natychmiast poprosi do siebie p. ambasadora Francyi, skoro tylko otrzyma wyprawiony już list z Siegmaringen, celem przesłania jego osnowy do Paryża. List rzeczywiście nadszedł, lecz wyprzedziła go wzmiankowana depesza barona Wertera z Paryża o gwarancyach na przyszłość. Król, zamiast wezwać ambasadora, jak to był przyrzekł, wyprawił do niego swego adjutanta, ks. Radziwilla, z zawiadomieniem, że własno-

ręczne zrzeczenie się księcia Leopolda nadeszło i że tym sposobem sprawę uważać należy za wyczerpaną. Benedetti nadmienił adjutantowi o otrzymanych z Paryża instrukcyach co do rękojmi i prosił, aby królowi rzecz tę przedstawił. Adjutant wrócił z odpowiedzią tej treści: „król najzupełniej potwierdza zrzeczenie się księcia, lecz nic więcej uczynić nie może." Ambasador zażądał audyencyi. Król polecił odrzec, że zniewolony jest usunąć się od dalszych rokowań, że wypowiedział ostatnie swe słowo...

Odmowa ta nie była może zupełnie nieposzlakowaną pod względem wymagań grzeczności międzynarodowej, lecz zerwania nie oznaczała jeszcze, zwłaszcza, że nazajutrz rano, przy odjeździe króla z Ems, Benedetti, który również z podróżą swoją tak się urządził, aby na tę samą godzinę wypadła, miał sposobność spotkania się z monarchą i złożenia mu swych życzeń pomyślnej drogi. Król, zmieszany cokolwiek z początku, pożegnał jednak ambasadora ze zwykłą uprzejmością i szczerym objawem uznania.

Pozory były tym sposobem ocalone. Na razie wszystko od nich zależało.

Nadzieja pokojowego zażegnania zatargu nie była straconą, tembardziej, że wszystkie gabinety europejskie wystąpiły z jednomyślnem zdaniem, iż słusznego powodu do wojny niema, i w tym kierunku nie szczędziły zachodów w Paryżu.

O godzinie 11-ej zrana w dniu 14 lipca, we czwartek, nadeszły depesze Benedettiego o ostatnich pertraktacyach z królem, — oblane łagodzącem światłem ukłonów na dworcu kolejowym. W południe

zebrała się rada ministrów pod przewodnictwem cesarza, na której zwolennicy pokoju ujrzeli się w znacznej większości... Wieść, miła sercom, błyskawicznie obiegła stolicę. Radość była powszechną—poranek rzeczywiście „piękny", lecz bynajmniej nie w tem znaczeniu, jakie mu nadał Moltke.

W pięć kwadransów po zamknięciu dyalogu między królem a Benedettim, za pośrednictwem adjutanta, ukazał się w Berlinie urzędowy telegram z Ems, głoszący w wyrazach krótkich, najwidoczniej cierpkością i obelgą podszytych, że król nie przyjął ambasadora Francyi, że przez adjutanta oznajmił, iż nic już więcej nie ma z nim do mówienia. Telegram ten zakomunikowano jednocześnie wszystkim reprezentantom Prus przy dworach zagranicznych. W Paryżu wiadomość o nim powzięto dopiero około południa, a była ona na razie mętną, niepewną.

Tymczasem około godziny 2-ej z południa rozeszła się na giełdzie wiadomość, jakoby odprawa w Ems nastąpiła w miejscu publicznem, w obecności tłumu, który tym sposobem był świadkiem gorszącej sceny, kiedy król z niecierpliwością i niechęcią odwrócił się od ambasadora Francyi...

Wersya ta, dostawszy się do kolumn dzienników europejskich razem z telegramem emskim, obiegła wnet na skrzydłach elektryczności kulę ziemską—a z Berlina żadnego zaprzeczenia nie było. Napoleon około godziny 4 ej z południa zwołał powtórnie radę ministrów, na której, bez dłuższej tym razem dyskusyi uchwalono ściągnąć rezerwy. Cesarz atoli nie wyrzekł jeszcze ostatniego słowa; zauważo-

no owszem, że choć cierpiący i skołatany, twardo się opierał natarczywym podszeptom, nawet groźbom stronników wojny.

Lecz Paryż był już w ogniu. Rozdano pocztę berlińską, która potwierdziła i rozpowszechniła telegram emski razem z obelżywym onego komentarzem. Dziennikarstwo, nie wglądające wcale ani w to, zkąd wiadomość pochodzi, ani w jakim celu w obieg ją puszczono, uderzyło w wielki dzwon alarmu. Słowa: „otrzymaliśmy policzek" ukazały się na plakatach.

Place zapełniły się ludźmi przyzwoicie ubranymi, z ciężko kutemi laskami w dłoniach, z rumieńcem patryotycznego oburzenia na twarzy, z pełnemi gębami połajanek i szczucia przeciwko Niemcom... Zagrzmiała Marsylianka i ku niebiosom wydarły się okrzyki: „do Berlina! do Berlina!"

W powietrzu dał się uczuć ostry, dławiący zapach siarki rewolucyjnej.

Ku wieczorowi—od godziny szóstej do ósmej—cesarz kazał ponownie odczytać sobie raporty o stanie armii, fortec, magazynów, składów broni, streścić relacye ambasadorów z Wiednia i Florencyi, odcyfrować najświeższe doniesienia agentów poufnych w Petersburgu i Londynie.

O godzinie dziewiątej przybył ze sprawozdaniem prefekt policyi; o dziesiątej ukazał się przyboczny lekarz cesarzowej z wiadomością o nagłem jej zasłabnięciu; o jedenastej Napoleon polecił zwołać

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w DĄBROWIE GÓRNICZEJ

trzecie z rzędu dnia tego posiedzenie rady przybocznej, a o północy, po długich i gwałtownych sporach, w których element wojskowy coraz donioślej brał górę, zapadło postanowienie, które znękanego i wycieńczonego władcę Francyi zapędzić miało do „nory sedańskiej."

II.

Przed klęską.

Środa, 31 sierpnia, w Paryżu. Pogoda ciągle wspaniała, rajska, bez upałów, bez wiatru, bez kurzu. Powietrze ciche, czyste. Wydaje się, że niebo dalej zachęca ziemię do oczekiwania na jakąś dobrą, słodką nowinę.

Nowina przyjść musi, przyjdzie niezawodnie. Wszyscy w to wierzą. Nasza garstka najmocniej. Nie może być inaczej. Francya nieodmiennie zwycięży. Kilka niepowodzeń początkowych pod Wissemburgiem, Woert, Forbach, to tylko jakaś omyłka losów, traf nierozsądny, bezmyślne zboczenie wypadków z drogi prostej.

Odwet niedaleki.

Niemcy na żaden sposób nie będą mieli ostatniego słowa. Cóż Niemcy przedstawiają w dziejach ludzkości, cywilizacyi? Jaką jest zasługa w rocznikach postępu i oświaty? Szczególne zjawisko! Każda jednostka tego plemienia, wzięta osobno, niezależnie od innych, uosabia niemal zawsze dość znaczną su-

mę cnót i przymiotów społecznych; związani w całość—to kupa sprężyn bezdusznych. Pracowici, rządni, rzetelni, spokojni w domu i jako sąsiedzi prywatni, stają się jakiemiś tępemi lub zębatemi cząstkami machiny do deptania tego wszystkiego, co człowiek kiedykolwiek wielbił.

Tryumf przeto Niemiec—wyraźnie Niemiec, nie zaś Niemców — na widowni publicznej, międzynarodowej, byłby odwrotem i cofnięciem się oświaty o lat sto, dwieście ku epoce średniowiecznej.

Dobrodziejstwa, pozyskane w dziedzinie stosunków prawno-społecznych i politycznych pod koniec wieku XVIII-go zostałyby zakwestyonowane, hasla nowożytne uległyby poniewierce, a z czasem—spoliczkowane i wypchnięte za drzwi.

Myślami temi przesiąknięty byl każdy umysl. Widziano jak na dloni rozwierającą się przepaść wstecznictwa i ciemnoty.

Przypominano sobie sławę styczniowego odczytu Edmunda Chojeckiego w sali Grand-Orient, w którym znakomity pisarz i myśliciel skreślil zasadnicze cechy charakteru narodowego Francuzów (zapał, poświęcenie, wylewność), oraz Niemców (skupienie się, egoizm, chciwość); wśród powszechnego ożywienia publiczności, przepełniającej największe w Paryżu audytoryum po same wierzchołki, zakończył swój wywód wspaniałą metaforą tej treści: w walce narodów unoszą się nad niemi w górze ich ideały i gdy ludzie mierzą się na oręże, one—te duchy napowietrzne—próbują swych sił moralnych. Zwycięży ten, czyj ideał jest wznioślejszy. Naturalnie, zwycięży Francya.

...Okrutnie byłem zmęczony w tych czasach Wszystko się jakoś w duszy darło. Niepokój, nadzieja, nazajutrz znów alarm, nieustające łamanie się z sobą, ze swojemi przekonaniami, przygnębiająco wpływaly na organizm.

Dziwny ustrój nerwowy! klęskę zdaleka przeczuwa, widzi ją niemal o mil sto, a jednak rozumowania w nim zmierzają zawsze w kierunku odwrotnym z nerwami.

Rozumowałem, jak wszyscy dokoła, a czułem zupełnie inaczej, samotny.

Logikę dyabli brali, a jednak logika wydawała się mocniejszą od potęg dyabelskich. Chwilami slyszałem prawie nad sobą i pod sobą trzeszczenie i zapadanie dachów i fundamentów całego tego gmachu, wśród którego żyłem, a przecież ani razu nie doznalem chęci ucieczki, wyniesienia się dokądkolwiek przed zbliżającą się katastrofą, bo mózg katastrofy nie przypuszczał.

W stolicy, na powierzchniach życia, niepodobna było dojrzeć ani jednego promyka, zwiastującego przewrót, który przed sobą miał już tylko cztery dni drogi. Wojna ma swoje zasadzki. Wygrana Mac-Mahona pod Sedanem byłaby równie wysoko wyniosla Napoleona III-go w górę, jak przegrana zepchnęla go na dół.

Na ulicach zapanował względny spokój. Ustały tłumne upędzania się za domniemanymi szpiegami, nie słyszano już obelżywych na cześć Bismarka piosenek, zamilkla „Marsylianka," urwały się manifestacye z okrzykami: do Berlina! do Berlina!

Za wyraźnie przemówila tym razem oczywi-

stość. Z Luwru wynoszono w bezpieczniejsze miejsca cenniejsze arcydzieła pendzla, zawczasu zatykano materacami okna w Bibliotece Publicznej i w muzeach. Generał Trochu, nowy gubernator miasta, codzień prawie z licznym orszakiem wyjeżdżał oglądać roboty naprawcze i dopełniające przy fortyfikacyach Paryża. Mieszało to cokolwiek szyk wyobrażeń ustalonych, przyjętych za niezłomne. Bo jeżeli Mac-Mahon pobije Niemców (nie wiedziano jeszcze czy pod Sedanem), w takim razie widoczną jest rzeczą, że Paryż nie będzie oblężony. A jeżeli Paryż nie będzie oblężony i bombardowany, to po co te materace w oknach Luwru i Biblioteki? W sztabie gubernatora wiedziano snadź coś więcej nad wiązkę nowin, udzielanych gazetom.

III.

S e d a n.

—

Wiadomość urzędową o przegranej sedańskiej i dostaniu się cesarza do niewoli ogłoszono w Paryżu w sobotę wieczorem, 3-go września, to jest na trzeci dzień po wypadku, kiedy już wszędzie, na całej kuli ziemskiej, wynik bitwy szczegółowo i dokładnie był znany od 48 godzin, a to na podstawie usłużnie śpiesznego sprawozdania głównego sztabu pruskiego...

Niewątpliwie, jest to jedno z najbardziej gorzkich i upokarzających następstw każdego upadku, że upadający traci swoją własną, na własnych źródłach opartą historyę; sprawdza się tym sposobem wyrocznia pamiętnych słów Mickiewicza: „A wyrok o nim wyda wróg potężny."

Depesza prefekta departamentu, jedynej władzy niezawisłej w obrębie kilkunastu mil dokoła Sedanu, była nader lakoniczna i prosta: „Armia razem z cesarzem poddała się, komunikacye przecięte, brak wszelkich informacyj."

I naprawdę, nikt tych „bliższych informacyj" tak bardzo nie żądał, nie potrzebował. Ci, co w życiu swem przeszli przez jakąś klęskę olbrzymią, potworną, znają dobrze stan duszy, w którym traci się wszelką chęć głębszego wejrzenia w przyczyny, okoliczności i dalsze następstwa otrzymanego ciosu.

Około godziny 11-ej w nocy wracałem pieszo z ulicy Demours (około parku Monceau) na przeciwległy kraniec stolicy, do dzielnicy Maison Blanche za Gobelinami, pod parkiem Montsouri, gdzie wtedy mieszkałem. Droga najbliższa wypadała środkiem miasta, w pobliżu św. Eustachego, Hali centralnej, Luwru, ale obrałem dla ruchu nieco dłuższą, na prawo, około kościoła św. Magdaleny, bulwarami włoskiemi i dalej bulwarem Sewastopolskim.

Na niebo od samego południa zaciągnęły rzadkie, pajęcze chmury; w powietrzu czuć było wilgoć. Gazowe latarnie okryły się krepami mgły, ulice zalegała cisza, w oddaleniu słyszałeś tylko stłumiony rumor, jak od toczącego się na skraju horyzontu ciężkiego wozu. Bulwary przepełnione były ludem, ale stał on nieruchomy, milczący, niby przykuty do ziemi i skamieniały. Opowiadano nazajutrz, że postawy tej nie zmieniał miejscami w ciągu godzin całych. Zatrzymały się omnibusy i fiakry, zastygły na ustach słowa, zeszkliły się spojrzenia, sposągowiały twarze. Przed zamkniętemi kioskami nikt na gazety nie oczekiwał. Około plakatów na murach nie było ścisku, oparci o ścianę robotnicy mieli głowy zwieszone.

Nieprędko dostałem się do mieszkania. Długoletni mój kolega-sąsiad stancyjki hotelowej na osta-

tniem piętrze odemknął drzwi na moje spotkanie, spojrzal mi w oczy ze świecą w ręce—i nie mogliśmy wyrzec do siebie ani jednego slowa. Miarowy odgłos jego krokow po pokoju słyszałem do samego rana.

Wiele się o tym dniu czytalo w latach spokojniejszych—i trochę się pisalo.

Pierwotne jednak wrażenie, niezatarte, nie dające się wygładzić, pozostaje ciągle bez odpowiednio dobranego uwydatnienia i wyrazu. Wszelkie porównania zawodzą. Przykłady analogiczne miało się—ale wyłącznie w dziedzinie stosunków prywatnych, jednostkowych.

Wyobraźmy sobie człowieka, który rozumem, wymową, osobistym charakterem pozyskał w towarzystwie lub w ściślejszem swem kółku uznanie i szacunek jednomyślny. Slowo jego waży, rada jego jest słuchaną. Wszczyna się naraz sprawa doniosła. Koryfeusz jej broni. Niespodzianie, w toku wywodów, wtrąca się przeciwnik dawny, znany, nie pogardzany wprawdzie, lecz pod każdym względem uważany za niższego, i skorzystawszy z najsłabszego miejsca obrony rywała, górującego dotąd, zadaje mu jedno pchnięcie, z kolei drugie, dalej trzecie. Koryfeusz się spostrzega. W jednej chwili zmienia pozycyę i taktykę. Nie szuka ani zemsty, ani przewagi. Gotów jest ustąpić nawet od swego. Idzie mu tylko o ocalenie pozorów, o honorowy odwrót, o godziwą ludzką tranzakcyę. Patrzy wspolzawodnikowi w oczy i widzi, że jest rozumianym. Czyni w tym kierunku jeszcze krok jeden — i w mgnieniu oka otrzymuje uderzenie czwarte naodlew, bez par-

donu — a ostateczne... Zarzućcie mu wtedy na oblicze zasłonę—to Sedan.

Ból ten i tę zniewagę odczuwam w tej chwili jeszcze, jak gdyby były moje własne. W każdem, najbardziej zasłużonem pognębieniu faktycznem jest coś, co nas ku niemu pociąga i z niem solidaryzuje. Nawzajem, niema i być nie może tak wzniosłego tryumfu siły, iżby w sobie nie zawierał kropli pobudki do odrazy. Promień ten w naszej duszy zawdzięczamy Chrystusowi, Jemu jednemu; nie sądzę, żeby światło to posiadała starożytność.

Opłakany dzień w historyi nowoczesnego świata! Stało się wszystko najłogiczniej, najprawowiciej, stać się inaczej nie mogło, a jednak do faktu zakradło się grube, pogańskie nadużycie i dławi społeczność dzisiejszą, jak kość w gardle i jak zmora przedzgonna.

Ratunku niema zkąd oczekiwać. O tem, żeby Niemcy „przeprosiły,” uderzyły się w piersi, dały zadośćuczynienie, któżby marzył? A co do odwetu, jest to szaniec niewiadomości tak gruby i wysoki, że najbujniejsza wyobraźnia go nie przeskoczy.

IV.

Cień z pobojowiska.

Pierwsze opowiadanie naocznego świadka o pogromie sedańskim slyszałem w kilkanaście dni po katastrofie w okolicznościach następujących:

Batignolskie bataliony gwardyi, w której służyłem, wysyłano na służbę nocną przy okopach znacznie dalej od dzielnic i miejsc, z których pochodziły, w tym celu głównie, aby ojcowie rodzin nie zmykali z pod broni na nocleg do swoich żon i dzieci, a kawalerowie nie wpuszczali do miasta znajomych panien i dziewcząt o niewłaściwej porze.

Nasz batalion, 207, pełnił obowiązki najczęściej w dzielnicy Ternes, od strony Wersalu; straże jego rozciągały się nieraz do bramy Point-du-Jour, tej samej, przez którą, znacznie już później, za Komuny, wdarły się pierwsze oddziały wersalczyków i walkę w Paryżu rozpoczęły.

Sypialiśmy na ziemi przypruszonej słomą, w tak zwanych koszarach opancerzonych, *casamates blindées*, to jest w izbach, wydrążonych w okopach od strony miasta i obmurowanych wewnątrz. Dyżur podofi-

cerski, zmieniający się o północy, pilnował porządku i wywoływał z listy tych, na których przychodziła kolej czuwania przy bramie, lub na wierzchu szańców, oraz patrolowania po ulicach przyległych; zwało się to: być *en faction*.

Szyldwach, stawiany na posterunku, otrzymywał hasło i odzew, razem z krótką instrukcyą, na co baczyć powinien i co ma czynić w razie jakiego zajścia. Chodziliśmy niekiedy i do Tuilleryów, do ogrodu od strony Pól Elizejskich i do wnętrza pałacu. Mieliśmy z sobą tylko t. zw. wojskowe *couvertures de laine*—rodzaj płacht szerokich, które w razie chłodniejszych nocy mogły być narzucane na mundur w zastępstwie płaszcza.

Feliks Lewicki, który z pięciu, czy sześciu nas w całej kompanii—tworzyliśmy w niej osobny pół pluton *(escouade)*,—sam jeden miał w Paryżu rodzinę, przynosił z sobą zazwyczaj naczynia do herbaty, inni kubki, a wszyscy razem jakieśkolwiek zakąski. Najczęściej przeto na gawędce spędzaliśmy dobrą połowę regulaminowych 12 godzin.

Forty paryzkie po za okopami zaczynały już w owej porze połyskiwać raz po raz ogniem dział i grzmieć złowrogo, ale stosunki ze światem nie były jeszcze przecięte, tylko utrudnione i niepewne. Nad ranem coraz częściej powtarzały się trwogi nieuzasadnione, przywidzenia niedorzeczne co do możliwości nagłego napadu na okopy nieprzyjaciela, po ominięciu lub otoczeniu któregokolwiek fortu.

Podczas jednego z takich półsennych, przerywanych wypoczynków, podniosłem ciężką głowę na odgłos gorącej kłótni u wejścia do naszej muro-

wanki. Dniało. Kapitan kompanii, w otoczeniu kilku żołnierzy, bronił się od napaści nieznanych „cywilusów,” w błękitnych bluzach, chrapliwemi głosami oskarżających go o zdradę Republiki, powinności wojskowej i t. p.

Człek to był dobroduszny, wybrany przez kompanię dlatego głównie, że jako właściciel znaczniejszego sklepu artykułów spożywczych niezbyt twardym się okazywał w kwestyach kredytu krótkoterminowego. Obecnie, wśród zajścia, powtarzał tylko co chwila, głosem miękkim, w swojej obronie, że taki jest regulamin, że trudna rada... Spór przybrał wkrótce rozmiary gwałtowne — wszyscyśmy się zerwali na równe nogi. Franciszek Latkowski, który w tej chwili wracał ze swojej „szyldwachowej ćwiartki,” wytrzeszczył nagle oczy na napastników, zdjął i przetarł błękitne szkiełka swych okularów, raz jeszcze popatrzył i wybuchnął śmiechem.

— A ty tu zkąd, Stefanie!?

Na czele „włóczęgów” w bluzach stał istotnie pan Stefan i najgłośniej ujadał. Wyglądał do niepoznania. Schudł, nos mu się wydłużył i zaostrzył, kudły porosły, jak u żyda. Zdaje się, że nas na razie wcale sobie nie przypominał. Ale to nic, zaczęliśmy się ściskać. Kapitan, ujrzawszy taką komitywę, wyniósł się pocichu, a za nim jego przyboczni grenadyerzy.

— Cóż to za osła mieszczucha wybraliście na dowódcę? — to było pierwsze słowo przybysza-kolegi.

Złość lała się z niego potokiem. I słusznie. Oni w kilkunastu umknęli z niewoli niemieckiej,

błąkali się po lasach, po wsiach, przedarli się przez tysiączne zawady, ścigani, tropieni, a oto u wrót stolicy, pod rządem republikańskim, aresztuje ich jakiś idyota, ciemny jak tabaka w rogu, do prefektury policyi chce odsyłać!... Bałwan! nauczył się tylko jednego wyrazu z wojskowości: *C'est la consigne! c'est la consigne!*

Ukoiliśmy jego żałość, nastawiając saganek wody na herbatę. Ponieważ inni jego towarzysze znaleźli również dawnych znajomych, a nawet krewnych, pan Stefan rozgościł się u nas na dobre.

Lewicki, który sypiał rozzuty, ściągnął zaraz z nóg skarpetki; stary Waligórski oddał mu rodzaj flanelowego spencerka, noszonego pod mundurem; od sierżanta wyludziliśmy zapasowe spodnie, buty, czapkę, koszulę, kołdrę, bo był czarny i woniejący jak kałuża.

Do nadejścia zmiany batalionowej i naszego wymarszu pan Stefan, zjadłszy wszystkie resztki chleba i sera, jakie się u kogo znalazły w kieszeniach lub tornistrze (Waligórski przychodził zawsze w tornistrze z roku pańskiego czterdziestego i pierwszego, a może i dawniejszych), zdołał opisać nam wszystkie swe nędze osobiście i sporą część klęsk publicznych, których był widzem i ofiarą.

Otrzymany w Bazeilles postrzał w nogę zagoił się szybko, wrzucono go na strych przepełnionego szpitala, w jakiejś willi, położonej o kilkadziesiąt kroków od pagórka, na którym w czasie bitwy w Bazeilles i pod Sedanem stać miał król pruski, a przy nim następca tronu, Bismark, Moltke, książęta. sztab,

agenci mocarstw zagranicznych, oddział kawaleryi z tyłu etc.

Świetne zgromadzenie oddzielała od walczących rzeka, którą Bawarczycy przekroczyli wczesnym rankiem, prawie bez wystrzału; słońce w południe było po prawej ręce patrzących, wiatr wiał po za nimi z tyłu i rozpędzał dymy pożogi. Panorama boju znajdowała się poniekąd pod samym nosem; — czerwona, gorąca, okopcona, szalejąca, straszna... Po razy parę amerykański generał Scheridan wpadał do szpitala na poddasze, aby módz dogodniej obserwować przez lunetę akcyę „osaczenia wilków w norze,” ale luneta stawała się zbyteczną. Golem okiem widziałeś dokładnie, nieco na lewo, w kotlinie, po za ścianami cytadeli, wskazówki zegara posuwające się na wieży kościelnej, czy też ratuszowej.

Daremniebym dziś usiłował odgrzebać w pamięci dosłowny opis pana Stefana. W takich razach ulegamy zawsze złudzeniu. Jakkolwiek opowiadanie wywierało na wszystkich głębokie wrażenie, nie ulega żadnej wątpliwości, że z koleją lat przysypały je rozmaite późniejsze relacye książkowe i ustne, publiczne kłótnie po wojnie generałów Wimpfena, Lebruna, Ducrot'a, proces Bazaine'a, rysunki, powieści, szkice.

— To była rzeź — powtarzał pan Stefan. — To były jatki!...

Artylerya korpusu Lebruna, w Bazeilles, wzięta we dwa ognie, od zachodu przez Bawarczyków, od wschodu przez niewidzialnego, zaczajonego gdzieś wroga, nie wie co z sobą począć; z tej strony wąwozu odległość przed nią za wielka, więc się prze-

nosi na tamtą stronę, gdzie spotyka wzgórza, niby ścianę, nie pozwalającą dojrzeć i dosięgnąć wroga, wytrzebiona do połowy, zawraca wstecz; tu zasypana gradem kartaczy grzęźnie w bagnie...

Rozbitki z korpusu Ducrot'a szukają ocalenia pod murami cytadeli, wdzierają się na mury, a za nimi rozwijają się łańcuchem tyralierzy bawarscy i prażą w ciągu kilku kwadransów bez odpowiedzi, najkompletniej bezkarnie...

Kawalerya generała Marguerite pędzi do ataku na garstkę niemieckich strzelców, rozłożonych przed rzeką, a tuż zaraz za rzeką najbezpieczniej w krzakach osadzone działa, tną kartaczami konnicę w ślepia. I tak ciągle, bez końca, od godziny 5-ej zrana do wpół do 7-ej wieczorem. Alboż to bitwa? alboż to wojna?

Rzucam zamarłe wspomnienia, odpędzam mary wrażeń dawno doznanych, przetlałych. Biorę natomiast do rąk francuskie tłómaczenie pamiętników feldmarszałka Moltkego o operacyach z r. 1870 (Paryż, księgarnia H. Le-Soudier, 1891, str. 499), przeglądam nanowo te kartki wśród zalegającej dokoła ciszy wiejskiej, skupiam się w sobie, patrzę w przezroczą głąb niebios roziskrzonych i sam siebie teraz pytam: alboż to były bitwy, alboż to są rocznice, które święcić wolno?...

V.

Dwaj zwycięzcy.

Przed północą z 3-go na 4-ty września zebrało się ciało prawodawcze w dawnym Pałais Bourbon, w pobliżu Pól Elizejskich, naprzeciw kościoła Ś. Magdaleny.

Po otwarciu posiedzenia Jules Favre wstąpił na mównicę i zażądał detronizacyi Napoleona III. Grobowe, potwierdzające milczenie towarzyszy jego słowom. Osobny wydział, w myśl regulaminu, rozejrzy propozycyę i zda sprawę izbie. Tymczasem, ciało prawodawcze zawiesza swe obrady na kilka godzin.

Nazajutrz, 4-go września, około południa, gdy bez protestu załatwiono się ze sprawą „mniejszej wagi," to jest z detronizacyą, Thiers zaproponował izbie wysadzić ze swego łona tymczasową władzę wykonawczą, odroczywszy wybór nowego zgromadzenia ustawodawczego aż do chwili, gdy okoliczności

pozwolą. Nie było na to zgody. Zdania się podzielily, wołano:—do głosowania!

Gdy do sali posiedzeń wtargnęły tłumy, powstal zamęt, część deputowanych opuściła zgwałcone miejsce obrad. Lud, gwardya, kilku oficerów załogi porwało Gambettę na ręce i zaniosło do ratusza, gdzie natychmiast obwołano republikę, z rządem „obrony narodowej,” złożonym z deputowanych Paryża.

Dwie najważniejsze teki ministeryalne: spraw zagranicznych i spraw wewnętrznych, objęli Favre i Gambetta. Resztkom ciała prawodawczego i senatowi oznajmiono o tej woli wszechwładztwa gminnego bez dłuższych formalności. Thiers, po naradzie ze swymi przyjaciolmi, przyrzekł poparcie „nowej tymczasowości” — i około godziny 4-ej z południa Rzeczpospolita obchodziła radośnie tryumf „bez kropli krwi przelanej.”

Do tej „ani jednej kropli” Gambetty Favre dodał w okólniku do mocarstw z dnia 6-go września dwa inne *ani*, „ani jednej piędzi ziemi! ani jednego kamienia z twierdz naszych!”—i to już wszystko— i na tem koniec.

Historya przecież zaznaczy jeszcze dodatkowe *ani*, ale już wiarogodniejsze: ani jedna ręka się nie poruszyła, ani jeden głos się nie podniósł w obronie obalonej dynastyi. Cesarzowa pieszo opuścila Tuilleryе, wsiadła na polach Elizejskich do powozu i w milczeniu udała się na wygnanie.

Około 5-ej wieczorem wyszedłem na przechadzkę po mieście. Dokola Panteonu parę gromadek kobiet, a przed frontem Biblioteki S-te Genèvieve kilku wy-

robników na drabinach młotami i dłutami odbija z tynku ogromne *N*, przycementowane do ściany po rogach gmachu, pod okapami; mularze biorą się jednocześnie do odskrobywania i odnawiania na murze powleczonych wapnem haseł r. 1848: „wolność, równość, braterstwo!..."

Wzdłuż ulicy de l'Université pustka. Na szczycie ciała prawodawczego, zamiast trójkolorowej, powiewa czerwona chorągiew.

Od strony Pól Elizejskich gęsta, stłoczona masa bluz jasno-niebieskich i mundurów błękitnych; w gąszczu wznosi się wóz, a na nim ogromna wygorsowana i wytrykotowana łałka szkarłatno-biała. Ciągnie to wszystko w stronę ratusza. Idziemy. Ścisk coraz większy. Okrzykom ogłuszającym nie sprostałyby działa. Wytężam ostatki woli i sił, aby się utrzymać przy wozie, nic innego mnie nie obchodzi, nic innego przed sobą nie widzę. Literalnie pływam we własnym pocie.

Stajemy u celu, przed samym krużgankiem ratusza. Okna nad nim rozwarte na oścież; jedne upstrzone głowami ludzkiemi, drugie puste. W pustem, tuż nad krużgankiem, ukazuje się figura.

— *Vive Rochefort!*—ryknęły tłumy.

„Głowa szpica buduarowego"... Nie moje to wyrażenie; używały go czas długi najpoważniejsze czasopisma paryzkie. Twarz chuda, śniada, usta cienkie i zaciśnięte, bródka ostra, koźla. Na oczach binokle, które spadły, gdy zaczął mówić... Napróżno ręką nerwową obmacuje guziki tużurka i kamizelki, nie może szkiełek pochwycić. Zaczyna:

— *Citoyens! chers citoyens!*

— Na wóz go! na wóz!—wrzasnęły rzesze.

Błagier zniknął z okna... Po chwili był już o pięć cali przedemną. Wzbraniał się leźć na wóz. Blade wargi mu drżały, ale po nich nie przestawał pełzać wężyk jadowity, podstępny.

— Bracia! obywatele kochani! Tyran nikczemny obalon, leży w błocie sedańskiem. Jesteśmy wolni, jesteśmy równi, niezależni!...

— Na wóz go! na wóz!.

— Drodzy współtowarzysze tyloletnich cierpień i katuszy! Oto skończyły się nasze męki, runął ten zbrodniarz 2-go grudnia, ten kryminalista, ten uciekinier z Kayenny, ten dożywotnik robót ciężkich!

Głos jego posiadał wszystkie tony gwizdawki, oparskanej śliną, wywijał nim orator zręczniej, niż rapierem w kościstych palcach, lub stalówką w tłustych pomyjach, które przed laty wygarniał z najciemniejszych tuilleryjskich zakątków i wylewał na głowy cesarza, cesarzowej, ich podrostka, ich bratanków, ich kuzynów, ich dziadów, ich kochanic, ich kochanków...

W ciemnych, krzywo osadzonych jego oczach to się zjawiał, to nikł ognik niewysłowionej jakiejś złości, nieokreślonego jakiegoś naigrawania się, któremu po wyciągnięciu zegarka unicestwia się kieszonkowicz, gdy daje do zrozumienia, iż łatwiej jeszcze obedrzeć cię potrafi ze czci i wiary...

— Na wóz go! na wóz!...

— Niech żyje!

To jeden zwycięzca.

Z drugim nie spotkałem się nigdy, ale mogę odtworzyć najwiarogodniejszą jego sylwetkę, zdjętą

dnia 4-go września 1870 roku, o godzinie 5-ej pod wieczór w miasteczku Rethel, na pół drogi do Rennes. Relacya jest urzędowa i bardzo mało różni się od podanej przez doktora Buscha w jego pamiętnikach.

„Oblicze buldoga.” Określenie nie do mnie należy; posługiwano się niem, jako monetą zdawkową, już podczas rozpraw parlamentarnych w Berlinie na lat osiem przed Sedanem; po latach zaś ośmiu, to i rachunek zbyteczny.

Oblicze to, o godzinie 5-ej pod wieczór w dniu 4-ym września 1870 r. roześmiane było od ucha do ucha. Nawprost niego przy suto zastawionym stole siedział oficer bawarski, zajmujący dziś jedno z najwybitniejszych stanowisk w państwie niemieckiem:

„Hrabia—brzmi relacya—popijając grube kąsy pasztetu szampanem *sieura Duvala*, aż się zataczał na poręcz krzesła, opowiadając spotkanie swoje z Napoleonem III, honorowym jeńcem najjaśniejszego króla pruskiego.

„Wszyscy współbiesiadnicy, oprócz jednego, słyszeli tę historyę po razy dziesięć, ale hrabia szczegółowo opowiadał ją po raz jedenasty nowemu gościowi. Więc, tandem tedy, o godzinie 6-ej zrana w dniu 2-im września, hrabia spoczywał jeszcze w łóżku, w głównej kwaterze Donchéry.

„Oznajmiono mu naraz, że od Napoleona przybył generał z oświadczeniem, że cesarz widzieć się z nim pragnie. Hrabia wstał, naciągnął na siebie to i owo (detale pomijamy) i nie myjąc się, nie czesząc (przy tych słowach opowiadający powiódł dłonią po swej łysinie), wskoczył na wierzchowca i popędził.

O trzy kilometry od Donchéry, w stronę Sedanu, we wsi Fresnois, gościńcem bitym toczyła się landara, w której znajdował się cesarz, otoczony oficerami. I tu właśnie nastąpić miała scena, której świadkowie jednozgodnie kłam zadają, a którą przy stole w Rethel, mówiący hrabia niemal pantominami objaśnił.

„Zbliżając się—powiadał—chwyciłem za rewolwer, a wzrok cesarza zastygł w ciągu kilku minut na mojej broni."

Razem z temi słowy hrabia zasunął rękę za swoje krzesło i zrobił giest niepodobny do powtórzenia, zwłaszcza przy stole... Przyczem i chyba już najzupełniej tym razem mimowolnie, parsknął śmiechem takim, że wyrzucił z siebie na talerz i na serwetę haust szampana, zmieszany z przeżutym pasztetem.

Powody brutalnej tej wycieczki hrabiego (bo fakt należy do krainy wagnerowskiego zmyślenia) urzędowa relacya z Rethel przypisała kilku epizodom z powszechnej wystawy paryskiej 1867 roku, podczas której hrabia w kilku okolicznościach niedość starannie był odznaczony wobec monarchów, przyjmowanych przez cesarza i cesarzową Francuzów, z taką serdecznością i uprzejmością, z takim niezwykłym wykwintem i przepychem. Bajkę o rewolwerze, *et caetera* pragnął hrabia powetować teraz zastarzałą urazę, a łatwo mu dawano wiarę nazajutrz po Sedanie, kiedy cesarz — jak dobrze o tem hrabia wiedział — był od kilkunastu dni chory, skołatany niedolą, przygnębiony upokorzeniem, przybity troską śmiertelną o los żony i jedynaka syna—i w niepoko-

jach tych, wśród najokropniejszych nawałnic i ciosów publicznych, spędził kilka nocy bezsennych.

Pomylił się jednak ten drugi zwycięzca. I jego pasztet strasbursko-rethelski i jego księztwa i jego gromy oddawna już leżeć będą w prochu niepamięci, a jeszcze o kilku dziełach panowania jeńca sedańskiego ludzkość z wdzięcznością i chwalą wspominać nie przestanie.

VI.

Powody.

Upadł, przejechał go rydwan przeznaczeń, sprawa skończona. Nikt mu nie bronił sporządzić sobie za wczasu armii liczniejszej i bardziej wyćwiczonej, administracyi sprężystszej i uczciwszej, wodzów doświadczeńszych i roztropniejszych.

W górę idzie, co lotniejsze, na dół, co opieszałością i niezaradnością cięższe.

Pieśń tę słyszymy oddawna. Znamy i źródła jej natchnień. Zaraz po podpisaniu traktatu frankfurckiego, stwierdzającego rezultaty wojny francusko - niemieckiej, sztab francuski, pod naczelnem kierownictwem Moltkego, zajął się gromadzeniem planów i dokumentów, z których się złożyło ogromne dzieło p. t. „Der Deutsch-französiche Krieg."

Wstęp do niego, zawierający treściwy opis „Powodów" wojny, stanowi podziśdzień uświęcone, nienaruszalne źródło wszelkich historycznych i politycznych kompilacyj, dotyczących przedmiotu. W dwudziestą piątą rocznicę bitwy sedańskiej opowieść tę

bez zmiany powtórzyły czasopisma niemieckie i inne, z drobnemi wyjątkami. Zatarg cały od stóp do głowy powstał z kandydatury Leopolda Hohenzollerna (podporucznika podobno wtedy wojsk pruskich) na tron hiszpański, czyli z owej *Spanische Erbfolge*, jak awanturę tę w r. 1890 nazwał feldmarszałek Moltke przez jakieś dziwne pomieszanie zdarzeń z historyi elementarnej, szkolnej (zob. jego streszczenie pomienionej pracy sztabowej, niewłaściwie zwane „pamiętnikami").

Przyjęcie w dniu 3-im lipca 1870 roku korony hiszpańskiej, ofiarowanej księciu Leopoldowi przez Prima; waryackie oświadczenie rządu francuskiego w izbach z dnia 6-go tegoż miesiąca; dumna nazajutrz depesza księcia Grammonta do Benedettiego, żądająca cofnięcia kandydatury i wyjaśnień; pierwsza rozmowa ambasadora francuskiego z królem pruskim w Ems w dniu 9-ym lipca i oznajmienie w trzy dni później ks. Antoniego Hohenzollerna, ojca ks. Leopolda, czyniące jakoby zadość impertynenckiemu uroszczeniu Francyi; niesłychane w dziejach dyplomacyi pruskiej od czasów Fryderyka Wielkiego wymagania rękojmi, wystosowane z Paryża w d. 13-ym i natychmiastowa odmowa, przywieziona Benedettiemu przez ks. Radziwiłła; „skrócony" tegoż dnia w Berlinie komunikat rządu, dotyczący owej odmowy królewskiej („ubliżającej" i „osobistej," pojaśniły dzienniki i telegramy); burzliwe trzykrotne narady w St. Cloud z dnia 14-go; zwołanie rezerw z dnia 15-go i wybryki tłuszczy paryzkiej w ciągu drugiej połowy lipca; wyjazd Napoleona III do armii i przekroczenie granicy niemieckiej przez przednie oddziały

generała Frosarda w dniu 2-im sierpnia — któż dziś całej tej epopei nie powtórzyłby z pamięci? „Za cudzą panią matką pacierz,” alboż to nowina, albož to nie reguła? A jednocześnie tyle dziś piszemy o Słowackim i jego „papudze narodów!..” Tej papugi sami my właśnie, publicyści polscy, byliśmy najrzetelniejszym zawsze dziobem i językiem...

A jednak nie czytaliśmy prawdopodobnie nawet owej mniejszej. do kilkuset stronic zwężonej pracy Moltkego o wojnie r. 1870—1871. Gdyby bowiem stało się było inaczej, nie przeoczylibyśmy z pewnością ciekawego szczegółu, że wielki strategik niemiecki rzeczoną *spanische Erbfolge*, nazwał tylko „pretekstem” do wojny. Prawda i to, że szydełko feldmarszałek natychmiast ukrył w worku ostrużyn i komunałów ekonomiczno-społecznych i prawno-politycznych, olśniewających swą naiwnością tytanią. Za dni naszych—powiada—usposobienie i dążności mas, gra stronnictw i intryg ich przywódców więcej znaczą w kwestyach pokoju i wojny, niźli ambicye panujących.

Rządy silne, zwłaszcza zaś samowładne, dają większą rękojmię utrzymania pokoju, niż rządy słabe, chwiejne, konstytucyjne, organiczne, zawisłe w swych postanowieniach od ciał reprezentacyjnych. Giełda np. berlińska, londyńska, a może i warszawska, często gęsto donioślejszą rolę odgrywa i większy wpływ wywiera na targ i zatarg państw i narodów, niż artykuły wstępne dziennikarzy, wywody uczonych i uchwały mężów stanu.

W zagadnieniach, odnoszących się do zbrojnego wyprowadzenia narodu w pole, wszystko zależy

od tego, czy rząd posiada lub nie posiada dość swobody, niezależności, siły, aby powstrzymać w porę porywczość i zapał tłumów, nie pozwolić im się rozbrykać zawcześnie. Najlepiej byłoby może, gdyby w ogólności pospólstwo nie brało żadnego udziału, lub brało jak najmniejszy, w stanowieniu o rzeczach publicznych, a więc też i w roztrząsaniu tych rzeczy. Trzeba bowiem wiedzieć, że najzwyklej, im więcej lud rozprawia, im bardziej go język świerzbi, tem pewniej rad szukać guza. Wielkie wojny nowoczesne zapalały się, bądź co bądź, wbrew woli monarchów, którzy ich sobie nie życzyli... I tak też stało się we Francyi w r. 1870. Napoleon nie był wstanie poskromić rozpasanych namiętności gminu przez ściągnięcie cugli swawolnemu rumakowi opinii publicznej, którą pożerala zawiść powodzeń oręża niemieckiego w r. 1866 — i oto pewnego pięknego poranku świat się dowiedział o wypowiedzeniu wojny Niemcom jedynie zato, że Prusy zwyciężyły pod Sadową... Odwet za Sadowę to było, zdaniem Moltkego, najrozleglejsze bagnisko, z którego się dla Francyi wysączyły wszystkie klęski lat 1870—1871.

Wódz i żołnierz, nie mógł powiedzieć więcej, choćby chcial, choćby wiedział. Trudno od niego żądać tlómaczenia, zkąd się we Francuzach dopiero w łat cztery po Sadowie zbudziła nagłe „zawiść" i co znaczyło rozpasanie się namiętności narodu, który następnie przegrał dlatego głównie, że giełda w wieku XIX, że partye, że knowania menerów etc. nie były narazie wybatożone porządnie, wykartaczowane, do Moabitu zamknięte. Dość i tego, że nam feldmarszałek wskazał, gdzie są „preteksty," a gdzie

„powody.” Powody wiercą się, w przybliżeniu, tak coś około r. 1866...

Rzeczywiście, doniosłe ciosy spadać zaczęły w epoce owej na Europę, na wszystkich zblizka i zdala. Dostało się i giełdom, i bankom, i szkółkom, i kościołom. Kontrybucye, rugi, kulturkampfy, kolonizacye, szwabikacye, zwaliły się na ludzkość jak szarańcza. Coś podobnego nie przyśniło się ani razu ówczesnemu szefowi głównego sztabu pruskiego. Zajęty on był zupełnie czem innem, a tak gorliwie, tak zapamiętale, że jak pewnego dnia przed oblężeniem Paryża zapewniał hr. Bismark—„w lipcu 1870 r., podczas płomiennych rozpraw w ciele prawodawczem, znikały mu z twarzy zmarszczki w miarę mnożenia się depesz zwiastujących wojnę, zjawiały się zaś napowrót w chwilach, gdy pokój zagrażał Europie.”

Strategia, taktyka, statystyka uzbrojeń, pochłaniające niegdyś sen i jawę hr. Moltkego, były i są dla nas najzupełniej obojętne; ale to, czego on za niemi i przy nich nie widział, nie domyślał się nawet, a co nas po dziś dzień jeszcze praży i siecze naoślep, wymagałoby oględniejszego i wszechstronniejszego zbadania, przedewszystkiem w przyczynach swych pierwszych, pierwotnych. Ale nie przychodzi to u nas łatwo. Lekka nowelka w obronie np. Orleanu przez jakiś hufiec woltyzerski, lub anegdotka, to trafi do przekonania czytelnika. Szczególniej anegdotka. Macież więc jeszcze jednę:

W tym samym czasie, kiedy hr. Bismark tak przyjemnie żartował ze zmarszczek Moltkego, zajrzał kanclerz do szpitala, w którym pospołu z inny-

mi leżeli i „Bartkowie zwycięzcy." Jeden z nich poprosił wysokiego gościa o książkę do nabożeństwa. Narazie nie znalazł się ani jeden egzemplarz w przybocznej kancelaryi i bibliotece hrabiego. Zato później — ręczyć można — oprócz złotego ołtarzyka, ztamtąd właśnie dostał się do nas i katechizm o czci należnej temu, kto mocniej sąsiada kopnął obcasem. Ma się rozumieć historyozofia obcasa, kolana i „grubszego końca w kiju" sama w sobie wystarcza. Po co pytać o „przyczyny," skoro są „rezultaty?" Przegadał—kto rozumniejszy; pobił—kto mocniejszy — to już wszystko. A jednak takby się chciało przegadać tych historyozofów!...

Spróbujemy.

VII.

Dogorywająca gwiazda.

Na południu Francyi koniec września i pierwsza połowa października należą do najpiękniejszych w roku. Szczególnie pobrzeża zatoki Gaskońskiej bywają o tej porze wspaniałe i słodkie pod łagodnemi uśmiechami jesiennego słońca.

Winozbiór spóźniony — to niby święto przedłużone: milej się używa rozkoszy, która jeszcze trwa, choć się już skończyła.

W r. 1865 owe ostatki prac i wywczasów letnich całkowicie zawiodły. W początkach października nadciągnęły od Atlantyku chmury, zbałwaniło się morze, zaszumiały deszcze. Nagłe przejście od upałów do chłodu dotkliwie uczuć się dało letnikom. Płaszczyzna przedkąpielowa w Biarritz, gwarna i barwna zazwyczaj, zaległa szarą pustką. Kto żyw, uciekał do wiejskiego pałacyku i skwaszony zastawiał się okienicami i sztorami od coraz gwałtowniej nacierających burz zachodnich.

Nad wszelkie oczekiwanie, z willi cesarskiej

i jej oszklonego tarasu, wpatrzonego w ocean, roztaczał się dokoła odgłos .wesołych rozmów i jakby chichot zabaw i śmiechów dziecinnych. Od niedawna w zachowaniu się i charakterze podtatusiałego władcy Francyi spostrzegano zmianę niewytłómaczoną: posępny i bezczynny w dnie pogodne, godzinami całemi smętnie zadumany w swoim gabinecie, lub niespokojnie rwący się do robót polnych, które świeżo rozpoczął był na szeroką skałę wśród piachów nad Loarą i Garonną—odmładzał się i wypogadzał wśród slot i zawiei. Zacierał dłonie, pogwizdywał, wybiegał ze swego pokoju do salonu, brał się z Ludwisiem za bary, całował cesarzową w obnażony łokieć, lub w sukienkę na kolanie i rozpromieniony, czemprędzej znów wracał do biurka, przy którem kończył ostatnie rozdziały drugiego tomu „Historyi Juliusza Cezara," robiąc zarazem, przerabiając korekty pierwszych tego tomu arkuszy, nadsyłanych z Paryża od Plona.

Nie wzbraniał się nawet rozprawiać wśród warczenia morza i ulewy o polityce. Mniej gryzł się w takich razach ustawicznemi naleganiami Amerykanów, aby się natychmiast wynosił z Meksyku, spokojnie tłómaczył Anglikom, dlaczego sztandar narodowości, wywieszony we Włoszech, nie pozwalał mu i nie pozwala bronić Danii od Prusaków i Bundu niemieckiego, dowcipnie w kartkach do ministra spraw zagranicznych polecał łagodzić gniewy księcia Gorczakowa zapewnieniem, że cokolwiek tam Francya oberwała w pamiętnej kampanii dyplomatycznej „we trojgu," to przecież *entente cordiale* z r. 1856 nie przestaje obowiązywać; z tajemniczym uśmie-

chem zadowolenia uchylał przy stole rąbki nadziei i rokowań swoich z Auslryą o Wenecyę wzamian za Szlązk od Prus; nie oburzal się na tych, którzy mu napomykali o niezbędności reform w kraju, o oczyszczeniu urzędów z resztek drugiego grudnia, o nadaniu większych swobód prasie, stowarzyszeniom, instytucyom lokalnym, przedstawicielstwu centralnemu.

G. Rothan w swoich „Początkach wojny 1870“ mniema, że własnoręczna notatka Napoleona III-go, znaleziona w Tuilleryach we wrześniu 1870, a traktująca o nadużyciach administracyi wewnętrznej, pochodzi również z dżdżystych czasów biarritzkich 1865 r.

Spowiada się w niej cesarz przed sobą z pytania, dlaczego sam on wciąż jeszcze jest lubianym i wielbionym, wówczas, gdy wykonawcy jego woli stali się nienawistnymi w narodzie?

I odpowiada na to ze szczerością i prostotą, iż napróżno usiłuje swem życiem i przykładem zaszczepić w podwladnych skromność, prostotę, łaskawość. Nie łatwo przerobić machinę państwową. Prefekci oddawna przyzwyczaili się prowadzić żywot baszów tureckich; policya, sądownictwo, władze szkolne pozostaly, jakiemi były przy Ludwiku-Filipie: wyniosłe, napuszone, rutyniczne...

Najgorsze ze wszystkiego to, że na postępowanie organów wykonawczych wplyw mają osoby postronne, do zarządu się wtrącające, ze stanowisk już usunięte, i tylko tradycyą, przeszłością, wspomnieniami z rządem związane...

Prasa, zamiast czynnie kontrolować blędy i wy-

kroczenia personelu administracyjnego, jest albo niewolniczo usłużną, albo buntowniczą. Cesarz widzieć wszystkiego i za wszystkich nie może; tymczasem zaś dziennikarstwo oślepło...

Cała ówczesna korespondencya Napoleona, wszystkie jego rozporządzenia świadczą najdowodniej, że cesarz głęboko wierzył w uczciwość swoją. A to jest rzecz wielka; znacznie zmienia ona i osłabia poglądy krytyków z lat 1866—68, którzy w „Historyi Juliusza Cezara" upatrywali złowrogi zamiar otumanienia społeczeństwa ideami niezwykłego jakiegoś posłannictwa, stosującego się w równej mierze do autora, jak i do jego bohatera. W dziele istotnie znaleźć można intencye podskrobania i pobielenia nieco zamachu 2-go grudnia; nie na tem jednakże zasadzały się główne insynuacye i reminiscencye książki. Dziś, przy odczytywaniu zarzuconej pracy koronowanego dziejopisarza, rzuca się to w oczy. Autorowi nie tyle szło o wykazanie dobrodziejstw własnej „misyi", ile o wyświetlenie przed narodem jego niemocy własnej, jego wad organicznych, wobec których „misya stawała się nieodbitą." Zdania, że dyktatura wyrasta z próżni i upodlenia ogółu, że cezaryzm w górze jest synonimem nicości w dole że w dobie upadku i rozluźnienia się węzłów starego ustroju społecznego sam ferment zastoju i gnicia wynosi na wierzch „lada jakiego zbawcę"; zdania takie przepełniają „Historyę Juliusza Cezara", rozpierają wszystkie jej rozdziały.

Nie łudzi się przytem cesarz ani co do granic swego wszechwładztwa, ani co do trwałości omdle-

nia publicznego. Alboż nie pisał: „W zakresie spraw moralności dziejowej istnieje, rzecby można, prawo jakieś wyższe, wyznaczające instytucyom, równie jak i jednostkom pewnym, kres fatalny, użytecznością ich wskazany. Dopóki kres ten nie nadszedł, wszelkie złowrogie przeciwności idą na marne; sprzysiężenia, zamachy, rokosze, wszystko się roztrąca o siłę nieprzepartą, utrzymującą to, coby obalić chciano; ale nawzajem, jeżeli istniejący porządek rzeczy, z pozoru niezachwiany, przestaje być użytecznym dla postępu ludzkości, wówczas ani tradycya wiekami uświęcona, ani największe męztwo, ani wspomnienie chwały poprzednio zdobytej nie zdołają o jeden nawet dzień opóźnić ruiny „wytkniętej w dekrecie przeznaczeń."

O osobistej swej użyteczności dla Francyi, a przez nią i dla reszty świata, dla cywilizacyi, Napoleon III niezłomnie i gruntownie był przeświadczony w okresie 1866—70; forma zaś tego przeświadczenia o pożytku własnym rysowała się przed nim jak najdobitniej po tylu doznanych zawodach, rozczarowaniach i błędach. Wycofać się na mniej więcej długi szereg lat z widowni międzynarodowej, załatwiwszy wpierw tylko kwestyę wenecką; poświęcić się wyłącznie sprawie wydobycia z łona społeczności całego możliwego zasobu sił i uzdolnień światłych; podnieść rolnictwo, szkoły, przemysł, drogi, porty, kanały, finanse, sprawiedliwość, samorząd, do wysokości i potęgi maksymalnej; dopełnić miarę swobód powszechnych ogniwem ich ostatniem, czyli tem, co cesarz zwykł był nazywać *„le couronnement de l'edifice"*, a wtedy dopiero ponownie wychylić się

„z misyą“ na zewnątrz; takim był plan działalności na przyszłość, plan dosłownie ręką Napoleona skreślony. Przeszkód znikąd się nie oczekiwało, nie było ich widać. Chwilowe podrażnienie Anglii w kwestyi duńskiej łatwo uśmierzy kilkadziesiąt ofiarowanych akcyj kanału Suezkiego; olimpijskie czoło ks. Gorczakowa rozfałduje się na widok odpowiedniej postawy Francyi na wschodzie; Austrya nie może żądać większej dla siebie rękojmi życzliwości nad tę, jaką posiada w osobie p. Drouyn de Lhuys.. A co do Prus... „W tych dniach dowiemy się o tem czegoś pewniejszego“—pisał cesarz do hr. Walewskiego dnia 2-go października 1865.

— Ale, ale — zagadnął nagle Napoleon księcia O...a.—I cóż to za konspiracye prowadzicie tam panowie we trzech od tygodnia: pan, Merimée i jego ekscelencya pruski prezes ministrów?

Kończono właśnie śniadanie i cesarzowa zamierzała już opuścić zgromadzenie, zabierające się do cygar. Ale się cesarzewicz ociągał nad owocami, które lekarz domowy zalecił był w sławnej swego czasu recepcie: „do czterdziestu funtów na dobę bez pytania, do osiemdziesięciu za zezwoleniem matki.“

Książę O. odparł flegmatycznie, poprawiając swą opaskę na czole:

— Ano, pan Bismark przybył znów ofiarować to, co nie należy do niego..

Zaśmiano się. Zręczne to było posłużenie się słowami cesarza: *„il vient de m'offrir ce qui ne lui appartient pas"*, wyrzeczonemi w Biarritz poprzedniego jeszcze roku po odprawie, danej natrętnemu gościowi z Berlina.

Merimée skorzystał z dobrej sposobności. Cieszył się on względami rodziny cesarskiej głównie z tego powodu, że był niewyczerpanym w naśladowaniu i przedrzeźnianiu kardynalnych grzechów ułomności Francuza.

Tym razem przybrał minę osowiałego, opasłego mieszczucha i zawołał wrzaskliwie:

— Jakto?!... Nie do niego należy?... Alboż Belgia nie do Prus należy?

A pochylając się w stronę cesarzewicza, zapytał:

— Do kogoż to, mości książę, Belgia należy?...

— Do króla belgijskiego — odparł Ludwiś, nie odrywając oczu i rąk od talerza.

Książę O. poprosił zaraz o pozwolenie ucałowanie rezolutnego chłopca, a Ludwiś czemprędzej otarł buzię przygotowaną serwetą...

Uradzono bez odwłoki, że jego ekscelencyę p. prezesa ministrów pruskich zaprosić wypada na jutrzejszy podwieczorek. Wicher wył wciąż i huczał za oknami. Cesarz, w kłębach dymu, wyglądał, jakbyś go na sto koni wsadził...

VIII.

Szarada XIX stulecia.

Pan Otto von Bismark w ciągu swego pobytu w Biarritz po kilka razy proszony był do stołu cesarskiego. W opisach i wspomnieniach świadków zachodzą z tego powodu różnice znaczne, aczkolwiek dotyczą one wyłącznie drobiazgów ceremoniału i rozmów okolicznościowych; zgodność panuje w tem, że przyjęcie było uprzejme, że cesarzowa umiała się przezwyciężyć, że po posiłku w gronie osób najbliższych Napoleon brał zazwyczaj gościa pod ramię i prowadził na gawędkę do swego gabinetu, z którego narady przenosiły się na taras, a trwały sam na sam najwyżej trzy do pięciu kwadransów. Przy domownikach minister pruski starał się być ożywionym: opowiadał dużo, najzwyklej o swoich zajęciach gospodarskich w domu, czem się cesarz widocznie interesował, albo też o swojem ambasadorstwie nad Newą. Pewnego razu, chwaląc gościnność magnateryi wielkoruskiej, Bismark zaznaczył, w formie zape-

wne komplementu, że we Francyi trudnoby Prusakowi liczyć na coś podobnego.

— Co do mnie—dodał—nie mam prawa na to się uskarżać jedynie na progach domu W. Ces. Mości.

— Eh, eh, panie prezesie — podchwycił cesarz wesoło—nie rzucajże kalumnii na pana Thiersa.

Była to żartobliwa przymówka do zbytniej przed laty zażyłości gościa z szefem opozycyi orleanistowskiej. Ale Prusak wyśmienicie się znalazł:

— Najjaśniejszy Panie—odrzekł—Prusy nie są mocarstwem tak wielkiem, aby nie miały szukać protekcyi u osób nawet małych...

Aluzya do nizkiego wzrostu Thiersa podobała się, ale cesarz, replikując, nie radził liczyć zbytnio na tę małość niepowszedniej wcale figurki, którą też zaraz okrył pochwałami rozumu, przenikliwości, talentu pisarskiego i przeniósł rozmowę na Momsena, utrzymując, że mu zawdzięczał „wiele światłych uwag" przy pisaniu „Historyi Cezara."

Tajemnicę rokowań w Biarritz z r. 1865 Napoleon III poniósł z sobą do grobu. Jego zaś partner zwycięzki stanowczo i po kilkakroć ustnie i na piśmie zaręczał, że nie poczynił i nie czynił tam żadnych ofert i obietnic, ani co do Belgii, ani co do prowincyj nadreńskich, z Kolonią i Moguncyą. Od cesarza zaś otrzymał wtedy *gratis*: zezwolenie na zawarcie przymierza odporno-zaczepnego z Włochami przeciwko Austryi i na reorganizacyę Rzeszy niemieckiej w duchu wytworzenia większej jednolitości i spoistości ziem korony pruskiej. Traktat przymierza z Włochami zawarty został, jak wiado-

mo, w dniu 8-m kwietnia 1866 r., w samej zaś chwili ratyfikacyi onego przez rząd włoski przedstawiciel Prus we Frankfurcie postawił wniosek zwołania ogólnego parlamentu niemieckiego i reformy ordynacyi wyborczej na podstawie głosowania powszechnego. Razem ze skandałami i gwałtami dowódcy pruskiej armii okupacyjnej w księztwach nadelbiańskich wytworzyło to dla Austryi sytuacyę niemożliwą: wojna się zapaliła. I oto przed samem rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich Napoleon, w pamiętnym liście do Drouyn de Lhuys z 11-go czerwca 1866 roku, odczytanym w ciele prawodawczem w dniu 13-ym tegoż miesiąca, uroczyście poparł wszystkie ówczesne postulaty Prus: terytoryalne przeobrażenie Niemiec południowych, zaokrąglenie granic królestwa pruskiego, utworzenie z Niemiec południowych oddzielnego związku...

I za cóż to? za jakie ustępstwa, usługi, czy nadzieje wywzajemnienia się Prus? Wenecyę już w dniu 5 m maja zgodziła się Austrya, za pośrednictwem Napoleona, ustąpić Włochom pod warunkiem otrzymania bądź Szlązka, bądź pieniężnego wynagrodzenia Neutralność przeto Francyi, przychylna Prusom, zapewniająca im, okrom hegemonii w Niemczech, 4½ pół miliona, następnie zaś coś około 8 milionów nowych poddanych, była dobrodziejstwem zbyt wielkiem, aby je Francya ofiarować mogła pod postacią prostej, wyżebranej jałmużny; tymczasem w urzędowych depeszach Nigry, ambasadora włoskiego w Paryżu, wtajemniczonego przez księcia Napoleona w najgłębsze zakątki widoków dworu tuilleryjskiego, zapisane zostało przed samą

wojną następne zapewnienie — niezwykłe i niedwuznaczne:

„Cesarz żywi wstręt nieprzezwyciężony do jakichkolwiek nabytków nadreńskich, któreby dla Francyi stworzyly Wenecyę nową—niemiecką.”

Więc jakże? czy Prusy podsunęly dziesięciotalarowego jakiego kubana Napoleonowi? czy dostarczyły jaką uroczą brankę do jednego z jego haremów, wytropionych z „latarką”, która następnie przeszla w ręce Rocheforta? Książę Bismark, człowiek w prywatnem życiu prawy i honorowy, dość nawet uczciwy mekler w cygańsko publicznych targach o skórę bliźniego, ale podstępny i złośliwy matacz polityczny wszędzie tam, gdzie Prusy zarwać kogokolwiek mogły choćby na trzy grosze, po kilka razy próbował zagadkę tę wytłómaczyć głupiemu światu. Ale wywodom jego, najpunktualniej zawsze pozbawionym dat i okoliczności określających, stale przyświecała reguła: *non bis in idem*—nigdy dwa razy jedno o jednem. To, czem kanclerz gawiedź zabawiał po wojnie 1870 r. w parlamencie niemieckim, formalnie przeczy temu, co sam on na razie napisał w okólniku do mocarstw z dnia 19-go lipca 1870 r., do którego dołączył fotograficzne *facsimile* zaproponowanego przez Benedetti'ego po r. 1866 sojuszu odporno-zaczepnego Francyi z Prusami W tem, co przed Sadową urzędownie oznajmiał wloskiemu generalowi, Govone, nie ma ani jednej litery zgodnej z tem, co nazajutrz po Sadowie w tejże materyi „najkonfidencyonalniej” podsunął Petersburgowi przez generala Manteufla. Dokumenty, które ambasadorowi francuskiemu dyktowal od siebie, w imieniu kró-

la, jako podstawę do rokowań ustnych i osobistych w najbliższej przyszłości, natychmiast komunikował Anglii i Rosyi, jako ultimaty Francyi, świeżutko otrzymane z groźbą wojny za godzin 24. Pomysły własne, najzupełniej osobiste, któremi jeszcze w latach 1862 i 1863 zakładał uszy Napoleonowi i jego powiernikom (Belgia), wystawiał w notach dyplomatycznych za pochodzące od Francyi „już po załatwieniu kwestyi luksemburskiej" (1867). Świstki, od Benedetti'ego wyłudzone, papiery, zbrojnem najściem zabrane od Rouhera w Cercey i uświęcone w Londynie, Wiedniu lub Petersburgu najzwyklejszą wizą: „przyjęte do wiadomości", ogłaszał w Monachium, Sztutgardzie, Carlsruhę za wyraz woli wielkich mocarstw, z Prusami sprzymierzonych; nawzajem zaś z okoliczności wydarcia Bawaryi, Wirtembergowi i Badeńskiemu traktatów unifikacyjnych, kazał ofiarom swoim dziękować w Paryżu jako za ocalenie „niezawisłości państwowej..."

Żeby cała dywizya grenadyerów zapragnęła archiwa dyplomatyczne i karty dziejów zdeptać i zaplugawić, toby nie dopięła tego szerzej i głębiej.

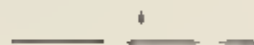
Mniejsza o moralność lub niemoralność takiego tasowania kart w grze międzynarodowej. Zapomniał tylko książę Bismark, że nie był ministrem państwa konstytucyjnego, faktycznie odpowiedzialnym za swe czynności, podlegającym sądowi i karze na czci i gardle. Osłaniał go majestat osoby królewskiej, broniła nominacya nietykalnego zwierzchnika narodu, uświęcała świętość woli i słowa monarchy, nikomu nie zdającego sprawy ze swych postanowień. Wszystko, co minister mówił i robił w charakterze

dostojnika korony, pochodziło od korony i na nią spadało. Powtóre, zapomniał książę Bismark, że w walce narodów istnieć musi choć jeden drobny punkcik, którego gwalcić nie wolno. Dziś np. spokój i dobrobyt Niemiec polegają całkowicie na rzetelności ugód z Austryą i Włochami; niech ta rzetelność będzie zdradzoną i sponiewieraną, Niemcy w mgnieniu oka zatoną w kalużach krwi i bezcześci, bo któżby byl poskromicielem miecza, kto sędzią przeniewierstwa, kto zapędom siły kresby położył i granice zakreślił?

Powiedzą: ależ za dni naszych stalo się już światlo. Od daty wyjścia książki La-Marmory, pamiętników Beusta, wyjaśnień Olliviera, prac Tatiszczewa (z pamiętników Kisielewa) i t. d., prawda wyszla na jaw, balamuctwa wyrzucono na śmietnik. Ani slowa—ale zanim do tego przyszlo, śmietnik pogrzebal już w sobie chwalę i dostojność jednego z najdzielniejszych członków rodziny ludzkiej. W połowie października 1865 r., kiedy p. Otto von Bismark, gorejący z zadowolenia wewnętrznego, jak lampka wenecka, opuszczal Biarritz, Francya, szanowana i kochana jeszcze w ³/₄ Europy, miała przyjaciól w Rosyi, Szwecyi, Anglii, Wloszech, Bawaryi, Saksonii, Węgrzech; w sierpniu 1866, kiedy pruski minister spraw zagranicznych wyprawiał Benedetti'ego do Paryża w celu ostatecznego rozmówienia się z cesarzem o warunki kompensaty, przyjęte w zasadzie, lichota moralna, nędza umyslowa, a drugie cesarstwo — jedno już znaczyly w Petersburgu, Sztokholmie, Londynie, Florencyi, Monachium, Dreznie i ztąd aż do Ujścia Wolgi i Dźwiny. Pozostala wprawdzie

przy Napoleonie spora jeszcze część dobrego o nim rozumienia w samej Francyi: zniknie i ona jak błyskawica. Tuż za Benedettim i jego „posłannictwem” potrójnie sekretnem, jedzie do Berlina pan Vilbort, współredaktor „Siècl'a”, polecony przez ambasadę francuską powiernik literackich i naukowych wynurzeń p. Bismarka. Zanim Benedetti otrzyma posłuchanie u cesarza, już cała Francya się dowie, że rząd jej wystąpił z żądaniem prowincyj nadreńskich i dostał, w obliczu ambasadora cesarskiego, po klapie od surduta...

Zkądże to? za jakie grzechy? Wróćmy do Biarritz. Ściany mogły tam mieć uszy...



IX.

Z nad Charenty.

Wiarogodnie, czy nie — rokowania biarritzkie z roku 1865 najszczegółowiej opowiadano sobie w r. 1867 w okolicach Poitiers i Bordeaux, ale wśród wypadków innej zupełnie natury niżli te, w których książę Bismark odegrał następnie pierwszorzędną rolę. Mogę całą tę historyę przytoczyć bardzo dokładnie z następującego powodu. Kiedy na wiosnę 1867 r., przed wystawą paryską, rząd francuski zaproponował mi wyjazd ze stolicy do jednego z departamentów Francyi środkowej, odwołałem się do gościnności hr. Ludwika de Fleury, dziedzica zamku Beauregard w pobliżu Civray (Dep. Vienne). Odpowiedział zwięźle, niemal przysłowiem: „za moją bramą — jak u Pana Boga za piecem". Bawiłem tam czas dłuższy, a gdy następnie wypadło znaleźć sobie obowiązek chlebodajny, otrzymałem za pośrednictwem p. Mickaniewskiego, inżyniera inspektora kolei Orleans Bordeaux, zajęcie o tyle ruchliwe, że wieczorny spoczynek wydawał się istotnie rajem. Wtedy to roz-

począłem poczet listów p. t. „Z nad Charenty" do czasopisma, wychodzącego w Paryżu pod redakcyą ś. p. Stanisława Jarmunda. Nie wszystkie jednak listy zostały ogłoszone, jak się o tem przekonałem w rok później, gdy redakcyę dziennika objąłem po Jarmundzie. Pozostał w tece zwitek rękopisów, który przeczekał dwa oblężenia Paryża, odbył kilka podróży wzdłuż Europy i ostatecznie dochował się podziśdzień. Nic w nim nadzwyczajnego, ale epizod biarritzki zasługuje nareszcie, po latach blizko trzydziestu, na ogłoszenie, naturalnie w treści zasadniczej.

Z okoliczności ukazania się drugiego tomu „Historyi Juliusza Cezara" wywiązał się w Angoulème pomiędzy dziennikiem biskupim (klerykalnym) a organem prefektury (rządowym) spór o dążności, a z kolei i o język książki.

Pismo biskupie utrzymywało np., że nie można po francusku powiedzieć *désertor sa missione*, jak się to trafiło w książce cesarskiej, w ustępie: *le monde, courbé sous le joug, demandait un sauveur; Cesar, „en desertant sa missione". devait-il tromper tant de legitimes ésperances, tant de nobles aspirations?* Organ prefektury odpowiedział, że przeciwnik jego plecie od rzeczy, że żaden błąd popełniony nie został Na to klerykał odparł: a jeżeli sam autor w ostatniej korekcie trzydziestego drugiego arkusza wyrazy *sa missione* wymazał, a na ich miejsce napisał *son poste?* Rządowiec: „Takiej poprawki nigdy nie było, a gdyby była, toby i w książce stało: *son poste*; napastnikowi snadź w głowie się pomieszało". Klerykał: „Nie pomieszało się wcale, skoro korektę

32-go arkusza posiadamy w redakcyi i możemy ją koledze okazać razem z brulionem dyalogu, ręką autora „Historyi" skreśloną na odwrotnej, czystej stronie arkusza". „A ponieważ — dodał klerykał — w chwili okropnego zamachu, spełnionego obecnie w Paryżu, dokument rzuca niejakie światło na stosunki i położenie kraju, mogącego ucierpieć niewinnie, przeto przytoczywszy kilka ustępów z tych własnoręcznych notat autora „Historyi Cezara", wyświetlimy zarazem warunki, w jakich arkusz 32 gi chybił swojego przeznaczenia".

Moja niedrukowana epistoła „Z nad Charenty" powtarza właśnie w tłómaczeniu kawałki z owego „dyalogu", a był on, jak się okazało z „wyświetlenia" organu klerykalnego, dyalogiem biarritzkim z r. 1865. Szkoda tylko, że bardzo mało prawdopodobnie zajmowałem się wtedy wypadkami i zagadnieniami, z których następnie wywiązały się faktycznie „powody" i „preteksty" do wojny 1870—71 r Wskutek tego, kto wie, czy nie wypuklej, czy nie prawdziwiej i dobitniej w powtórzeniu mojem wystąpiła istotna wojny „przyczyna".

Oto ów dyalog:

N. Odczytałem pański memoryał, ale wielu rzeczy dobrze nie rozumiem. Jakież to prawo macie do tej secundo genitury, którą dynastyi mojej gotowiście odstąpić?

M. v. B. Dualizm ten był osią polityki pruskiej od czasów założyciela naszej monarchii, kurfirsta brandenburskiego Fryderyka Wilhelma, a w aktach są ślady jeszcze poprzednich, z wieku XV i XVI w tym kierunku usiłowań. Monarchowie nasi stale

używali dwu języków w stosunkach ze swymi poddanymi. Zdobycze Fryderyka Wielkiego na Szląsku i jego następców z końca wieku XVIII-go do tegoż celu zmierzały. Dawna Francya nie opierała się systematycznie tym widokom; szło jej tylko o to, aby ze zmian nie skorzystała Austrya. Za rzeczypospolitej, po ustaleniu się w dniach thermidorowych i po zawarciu traktatu bazylejskiego 1795 r. uzyskaliśmy zasadnicze i formalne na to zezwolenie rządu francuskiego. Jakoż w zobowiązaniach komitetu ocalenia publicznego z maja i czerwca 1795 r. znajduje się cały program postępowania politycznego. Wzamian za przyrzeczenie Prus niestawiania w sejmie Rzeszy opozycyi przeciwko przyłączeniu do Francyi prowincyj nadreńskich, otrzymaliśmy potwierdzenie i poparcie w tych punktach: inkorporacya biskupstw i Hanoweru, hegemonia w Niemczech północnych, utworzenie z reszty ziem niemieckich federacyi, „przeznaczonej—jak powiedziano w aktach—do łagodzenia wzajemnych uraz i nieporozumień Prus z Austryą, wolność połączenia Bałtyku z morzem Północnem, przymierze z Danią i Szwecyą, wreszcie przygotowanie dla księcia Henryka secundo-genitury. Wówczas, tak samo jak i dzisiaj, planowi temu przeciwną była w jednej połowie Anglia, w drugiej Austrya. Anglię zwyciężyliśmy świeżo w Danii; na ostatni zaś punkt programu zgodziła się ona nieco wcześniej jeszcze, w pamiętnym okólniku Palmerstona, zamykającym ostatnią kampanię dyplomatyczną we trojgu. Zastrzeżono w nim wprawdzie, że Prusy mają się porozumieć z Austryą. Właśnież, porozumiemy się — na polu bitew.

N. Z panami galicyjskimi Walewski rozmawiał parę razy o tem. Nie życzą sobie wcale tej secundo-genitury pruskiej, nie chcą o niej słyszeć.

M. v. B. Magnaci galicyjscy zawsze byli obłudni, ciemni i lękliwi. A przytem, secundo-genitura Napoleonidów, to wcale co innego niż Hohenzollernów. Rozcinamy w ten sposób jeden z węzłów sytuacyi zawiłej i trudnej.

N. Lecz jakież korzyści upatrują dla siebie Prusy w tej secundo-geniturze Napoleonidów?

M. v. B. (z żywością). Jakto, alboż to niewidoczne? Zyskujemy ścianę — naturalnie od strony Austryi—niezdobytą z zewnątrz, dostępną z wewnątrz. Państewko nigdy zbyt wielkiem i niebezpiecznem dla nas nie będzie, czubiąc się z Węgrami o Słowian. To stare dzieje.

N. A granica Renu byłażby jak w r. 1795 obojętną dla Prus?

M. v. B. Obojętną — nie. Możemy na to patrzeć przez palce i bez wielkiego żalu. Nie pochylaliśmy się nigdy w tamtą stronę — byle, nawzajem, nie wtrącano się ztamtąd w to, co nas wyłącznie dotyczy.

N. Odłożono do namysłu, na dzień jutrzejszy.

Tyle z dyalogu, przytoczonego w liście „Z nad Charenty", z jesieni 1867 r. Co do wyjaśnień, jaką drogą arkusz 32-gi korekty „Historyi Juliusza Cezara" wraz z własnoręcznym na jego odwrocie pismem Cesarza, dostał się do rąk redakcyi dziennika biskupiego w Angoulème, źródło rzecz tę przedstawia ogródkowo, osłaniając imię Napoleona omówieniami: „gospodarz domu", „autor", „oczekujący na gościa"

i t. d. Nie potrzebujemy dziś być tak zagadkowymi.

W dniu 12-m października 1865 r., około godziny 2-ej z południa słońce po raz pierwszy wyjrzało z po za chmur, po długiej burzy. Morze jednak ciągle jeszcze było ogromnie wzburzone i szalejące. Cesarz, zadumany i smutny, siedział u stolika w swojej pracowni. W willi panowała niezmącona cisza.

Nagle na tarasie rozległ się okrzyk:

— Ratunku! na pomoc!

Dał się słyszeć łoskot. Do pokoju wpadł cesarzewicz, wołając rozpaczliwie:

— Ludka utonęla! Ludkę porwało morze!

Była to wychowanica cesarzowej, szczupła, nikła, jasnowlosa „dusza sieroca", którą nazywano „małą niemką" dlatego, że z następcą tronu, w godzinach rekreacyi, obowiązana była rozmawiać po niemiecku. Dzieweczka dostała się była przed laty do Tuilleryów z polecenia księżnej Giedroyciowej, przyjaciółki cesarza. Wesoła w towarzystwie, szukała w chwilach wolnych samotności na pobrzeżach oceanu. Widziano ją nieraz przesiadującą na wierzchołkach skał, zapatrzoną w niezmierzone przestworza morskie. Zmiótł ją dnia tego rozwścieklony zapęd fali... Cesarz, cesarzowa, dwór, co żyło wypadło na pobrzeże. Zarządzono energiczne środki ratunku, później poszukiwania już tylko. Ale nie ma żartu z morzem. Dziewczę w otchłaniach pochowane zostało na wieki.

Wieczorem ciągnął tędy młynarz z pobłizkiej fermy La Muette. Spostrzegł na ziemi arkusz papieru, a nie wiedząc, coby mógł oznaczać, doręczył zapisaną „gazetę” nazajutrz proboszczowi w Biarritz. Była to korekta! był to dyalog. Najprawdopodobniej podczas ratunku dokument stracony został.

X.

Opuszczony.

Społeczny żywot ludzki, jakże dziwnie w wielu razach przypomina przemienny ruch przyrody martwej, a powierzchnia dziejów naszych, jakże często podobna jest do powierzchni ziemi! Zdarzenia, zatargi, klęski, które niedawno jeszcze ukropem oblewały nam serca i policzki, dziś już ziębią zaledwie tyle, co śnieg zeszłoroczny. Zieleniły się onegdaj pola nadzieją nieobliczonych plonów, niespożytych dostatków, patrzysz, już niwy stoją zczerniałe, już chleb obietnic sprzątnięto ze stołów w okruszynach, już rolnik wyciągnął na zagon z pełną garścią nowych trosk, dalszych potrzeb, rozleglejszych na przyszłość widoków. Co było, wsiąkło w glebę niby rosa niegdyś widziana; co będzie — nęci jak wschód słońca nigdy nieoglądany; wszystko zaś razem powstaje, płynie i znika nam z oczu, więc i z pamięci, na wzór owych kamieni w bruku ulic, po którym się upędzamy codzień za jakimś celem, wiecznie przed nami zmykającym...

Gdyby w pierwszej polowie r. 1870 przed samym plebiscytem napołeońskim, potwierdzającym liberalne reformy i politykę drugiego cesarstwa pól ósma milionami głosów na dziewięć milionów głosujących, przeobraził się był ktokołwiek w iskrę elektryczną i obiegł Francyę poprzez wszystkie jej zakątki, chaty i pałace z zapytaniem: co też w rzeczy samej myśli ona o pięciu łatach swojej historyi od daty rozmów biarritzkich? — przysiągłby, że majaczy sennie i gorączkowo w pretensyach nieuzasadnionych.

Wszystko przeminęło, wszystko się zmieniło, a przecież wszystko, pomimo to, pozostalo na miejscu tem, czem bylo. Cesarz podupadł trochę, powiadają, na zdrowiu, cesarzowa wygląda cokolwiek mniej świeżo, ale cesarzewicz podrósł zato i zmężniał.

Dziennikarstwo napomykało o jakichś policzkach danych, czy otrzymanych, pan Thiers długo z trybuny wykładal, czego nadał robić nie trzeba, pan Cassagnac nakłaniał do wojny z Niemcami, pan Olivier przeciwnie, parł do zgody, prawica domagała się połamania Wloch na kawałki, lewica wypędzenia z Rzymu papieża, pan Rouher wólał *jamais*, p. Rochefort kazał barykady wznosić — ale czyliż po kropelce, po odrobinie z każdej beczki — nie tak się też i stało?...

Niewątpliwie, po bitwie pod Sadową ruszyć należało w 300,000 żołnierza na odsiecz Wiedniowi, ale najpierw, wojska tyle na razie nie miano, powtóre Francya, bez wystrzału, otrzymała Wenecyę w darze dla Włoch.

Bismark pokręcil, pogniótł traktaty nikolsbur-

skie i praskie z r. 1866, to prawda, ale ostatecznie „my" na swojem postawiliśmy w kwestyi luksemburskiej, marszalek Niel zorganizował armię, jakiej drugiej niema na świecie, zaopatrzył ją w broń, którą pod Mentaną cudów dokazała, przytem mieliśmy wystawę, na któią zjechali się monarchowie całej niemal Europy.

Żyjemy ostatecznie w przyjaźni z mocarstwami ościennemi i dalszemi, a swobód parlamentarnych pozazdrości nam wkrótce nawet Anglia... Jedno się utarlo. drugie się zatarlo, reszta w powietrze wyparowala, w grunt wsiąkła, grzędę doświadczeń użyźniła...

Po wsiach alboż nie rodzi wino i zboże, po miastach albož pieniądz do skrzyń nie napływa, jak dawniej?...

Falszem jest nadto, żeby Francya w r. 1870 nie miała przymierzy, była osamotnioną.

W ciągu poprzednich lat dwóch, 1868—69, cesarz Napoleon i cesarz Franciszek - Józef, następnie zaś hr. Beust i ks. Grammont korespondowali z sobą bez przerwy. Napoleon przyrzekał pomoc Francyi w razie najazdu Prus na Austro-Węgry, Franciszek-Józef to samo obiecywał na wypadek czyjegokolwiek najścia na Francyę. Traktatów nie zawierano żadnych; poprzestano na poufnej wymianie widoków.

W lutym 1870 r. przybył do Paryża arcyksiążę Albrecht w celu wspólnego opracowania planów strategicznych; do Wiednia z takąż misyą udał się sztabowy generał francuski.

Książę Napoleon ręczył, że do tego „pogotowia

zbrojnego" Włochy przystąpią bez oporu—przystąpiły istotnie... w dniu 4-m września 1870 r., na trzeci dzień po Sedanie (Albert Sorel, *Histoire diplom. de la guerre 1870—71*, t. I. str. 38). W rozum, sprawność i sprężystość hr. Beusta wierzono, bądź co bądź, przed Sedanem nie mniej szczerze i chętnie, jak przed Sadową w nieposzlakowaną sumienność i wdzięczność pana von Bismarka.

Czy równie zawodnie?

Kto w październiku 1867 był świadkiem w ratuszu paryzkim olbrzymiego, bezgranicznego zapału, towarzyszącego toastowi Napoleona i serdecznej, wzruszającej nań odpowiedzi cesarza Franciszka - Józefa, ten pierwej postradałby zmysły, niż ufność w lepszą odtąd i szczęśliwszą dla ludzkości dolę...

Ach, ileż to wszędzie mar i omamień! ile psot i zasadzek! Ci, co nam mówią o logice w biegu i rozwoju przyrody, umysłu, spraw ludzkich, powinniby wpierw dobrze zbadać logikę klechd i baśni ludowych: o dwóch braciach mądrych i trzecim głupim, o zapisach dyabłu tego, czego się w domu nie ma, o kijku-samobójku i t. p.

Rozumie się samo przez się, że ta bajeczna, tendencyjna waleczność i nieprawidłowość zjawisk w latach 1866—70, była tylko zewnętrznem, naskórnem odbiciem i zarysem zatajonej wewnątrz choroby. Były to cząsteczkowe bezprawia niezachwianych w swej całości praw równowagi przyczyn i skutków....

Francya ujrzała się w położeniu człowieka, któ-

ry wie, że został pokrzywdzonym, sponiewieranym, a nie wie jak, kiedy, do jakiego stopnia i przez kogo.

Republikanie, spiskowcy, „internacyonaliści” widzieli przed sobą wyraźnie tylko czerwoną chustę 2-go grudnia i rzucali się na nią z wściekłością byczą w każdą rocznicę zgonu Baudina, na każdym pogrzebie Lenoira.

Biali, czarni, żółci, zieloni wstecznicy zrzucali planety i księżyce na posadzkę, darniną dziury w niebie zatykali w obliczu Stolicy Apostolskiej, odartej przez Cavoura w Plombières z dziedziny Piotrowej.

Środkowi, połowiczni, myszkowaci, centkowaci wietrzyli, kędy zysk najpewniejszy i najgrubszy. Jeden gram świadomości gorzkiej palił usta i pożerał serce każdego, — we wszystkich razem tłukły dokoła tarany tajemnic centnarowych.

Podcięty kalectwem złowrogiem, nieuleczalnem prawie, nękany problematami historyozofii niemieckiej, napół mistycznej, napół fatalistycznej, z kulami galernika u nóg za dokonany z woli narodu zamach przed dwudziestu laty, skrępowany po łokciach powrozami zasady narodowościowej, cesarz sam jeden wiedział dokładnie, zkąd strumień złego wypływał, ale milczeć musiał... Bo przedewszystkiem: Włochy i papież... Zrana pryskała mu w oczy ukropem cesarzowa za Włochy, po południu książę Napoleon cebrami lał zimną wodę na głowę za papieża, wieczorem Ludwiś czytał z *Journal Oficiel* mowę Thier-

sa *in extenso*... W końcu cesarz jął tylko machać rękami i potakiwać glową.

Książę Napoleon dostał w gabinecie 2-go stycznia Oliviera, cesarzową, księcia Grammonta; Ludwiś z Thiersem—Buffeta; Francya—konstytucyę 21 marca 1870 r., zatapiającą naród w swobodach powyżej brwi i uszu. Co uczyniwszy, Napoleon III zległ do pościeli, z której się zwlókł dopiero wtedy, gdy trzeba było iść na szafot sedański...

Dobrze zapamiętałem te czasy, o! i jak dobrze! Lżejszych zresztą, do wspólki z lekkiem sercem pana Emila Ollivier, nie miałem nigdy, redagując czasopismo, w którego pierwszych zaraz numerach śmiało i energicznie zarysowalem alegoryczną postać Republiki... Gambetta nawet o niej jeszcze nie marzyl, Rochefort zaś zajęty był wyłącznie wyłamywaniem sztachet i kiosków bulwarowych, oraz połajanką z Polakami za jakiegoś Jezierskiego, który córeczkę mu podejrzal na pensyi w klasztorze...

Huk po kawiarniach, kurz po ogródkach, cisza po szkolach, calusy w zaułkach, bójki na ulicach, trybuny wśród cmentarzy, schadzki podczas nabożeństw, przesyt w rozpuście, wykwint w przesycie, zrobaczenie w wykwincie—nagabały i nękaly cię co chwila, co krok bezmierną swą próżnią, bezmiernem zaniepokojeniem umysłowem i moralnem, z którego powoli wyłazila, rosla i wychowywała się puchlina nieslychanej na wszystko niecierpliwości, niesłychanego przeciw wszystkim rozdrażnienia.

I ten to moment psychiczny książę Bismark

obrał na wyklucie kandydatury hiszpańskiej z jaja, które w Berlinie od jesieni 1868 r. wysiadywał. To i nie dziw, że gdy nareszcie ta „spanische Erbfolge" wyfrunęła na świat, przyrodzenie rzygnęło za nią klątwą, nie dającą się podziśdzień zażegnać...

Upłynie tak może kilka ćwierćwiekowych jubileuszów...

XI.

Ciemność egipska.

Jak się rzeczywiście prasa europejska zapatrywała na wielki dramat dziejowy, którego świadkiem naocznym być mi wypadło na ziemi francuskiej, w ostatnich szeregach jej obrońców?

Chcąc sobie na to odpowiedzieć, przejrzałem w tych dniach numery *Gazety Warszawskiej* od 8-go do 19-go września 1870 r. i muszę wyznać, że spotkało mnie najrozkoszniejsze z rozczarowań. Ma prawo być dumnym, kto należy do cechu dziennikarskiego.

Dzielny to hufiec wiarogodności. Jednego, dwóch nie trudno zaciągnąć na listę „funduszu gadzinowego," trzeciego batami zmusisz do kłamstwa, pięciu do sześciu bredzić ci będzie w gorączce stronniczej, lub przez chęć popisania się z czemś niebywałem; ale reszta, od 88 do 90 na sto, zakrzyczy, zadepcze tamtych, piaskiem zasypie im oczy i usta w obronie oczywistości, jasnej jak słońce. Z zamętu zdań sprzecznych, ułomnych, cząstkowych, oczywi-

stość ta występuje w takiej pełności i czystości, jak gdyby sama jedna była bóstwem wszechwładnie rozkazującem światu...

Wszelakoż, nazajutrz po obwołaniu w Paryżu republiki z tymczasowym rządem obrony narodowej, bóstwo owo stawało przed oczyma Europy w dość grubym jeszcze welonie złudzeń.

Za wiele wierzono w niespożytość sił Francyi, zanadto liczono na niezłomność odpornego jej męztwa, nie chciano na razie przypuścić, ażeby Niemiec postawić mógł ostatecznie zwycięzką stopę na karku 40-stomilionowego narodu.

Na chwilowe złudzenie składała się nasamprzód analogia lat 1792 — 93, następnie komunikaty rządu młodej rzeczypospolitej, usiłujące wmówić współczesnym, przekonać ich, że regentkę wypędzono z Tuilleryów nie po to przecież, aby wypić po niej niedokończoną kawę poobiednią.

Historya „dodawania sobie ducha" powtarza się często i wszędzie. A przytem, prawda nie chętnie i nie odrazu obnaża swe łono.

Szczerym mógł być i Juliusz Favre w drugim swym okólniku do mocarstw z dnia 17-go września, i Wiktor Hugo w swej odezwie do narodów, i Thiers w swych przemówieniach podczas podróży po głównych stolicach Europy.

Zdala wszystko to razem zapowiadało zapewne coś płomiennego, wulkanicznego, jeżącego się, jak puszcza białowieska, bagnetami obrażonej dumy narodowej i rzucającego się naprzód z odwetem szalonym, jak stado rozwścieklonych żubrów.

Są ślady, że nawet biedny jeniec sedański, na

odgłos strojących się tych pomruków Francyi republikańskiej, odetchnął raz, czy dwa pokrzepiającem powietrzem niw ojczystych. Czujemy jakby radosne drgnięcie serca, jakby uśmiech błogiej złośliwości w sławnej jego prośbie z Wilhelmshöhe do króla pruskiego o partyę wista.

Żaląc się na samotność, na nudy wspaniałego więzienia, na przymusową nieczynność i milczenie, zdetronizowany monarcha błagał Moltkego o trzech choćby partnerów sobie równych, to jest takich, którzy stanowczo z gry się wycofali... *qui ont définitivement quittès la partie*... Mniemał Napoleon III czas jakiś, że Francya potrafi dać się we znaki, że *nikt* się już na jeńca niemieckiego nie wykieruje...

Odpowiedź nadeszla przyzwalająca, ale dopiero po poddaniu się twierdzy Metz; zgodzono się na wyprawienie do Wilhelmshöhe marszałków: Leboeufa, Canroberta i Bazaine'a. Ci rzeczywiście z gry się wycofali i być może nieco zawcześnie.

Do rzucenia mglistej zasłony na możliwy dalszy po Sedanie przebieg wypadków wojennych najwięcej atoli przyczyniła się świadoma i rozmyślna taktyka głównej kwatery wojsk niemieckich, wysoko podnosząca bitność i zawziętość żołnierza francuskiego, a ogólnikowo tylko, jakby od niechcenia wspominająca o ogromie odniesionych przez Niemców zwycięztw i pozyskanych korzyści strategicznych.

Postawa taka odpowiadała w zupełności logice faktów i nastrojowi opinii publicznej, jeżeli nie w Europie, bo o niej dobrze wiedziano, do czego jest zdolną, to przedewszystkiem w samych Niemczech. Budzilo się w tym kraju zwolna i stopnio-

wo, lecz wyraźnie, obok zadowolenia z tego, co się stało, jeszcze i poczucie odpowiedzialności wobec pogwałcenia wielkiej, nigdy doszczętnie w sercach nie gasnącej zasady braterstwa ludzkiego. Trzeba z tem bylo zaczynać oględnie...

Z jednej tedy strony rozpuszczono potworne wieści o rozwścieklenIu Francuzów, dochodzącem do tego, że ich strzaly i cięcia jadem zaprawione być miały. (Hr. Herbert Bismark, zatruty właśnie w ten sposób, dogorywał w chwili owej, z cygarem w zębach); ze strony zaś drugiej, autorom artykułów, posyłanych do gazet ze sztabu pruskiego, zalecano bezustannie: „Nie obrażać wroga, dbać tylko o rezultat praktyczny..."

Na czemże się rezultat ten zasadzał? Przewidywano to zawczasu.

— Jak zdrowie hrabiny? — pytał hrabiego Bismarka pewnego dnia książę Albert pruski (ojciec).

— O, ona!... od czasu, jak Herbert ma się lepiej, jest zupelnie zdrową, ale Gallów nienawidzi po dawnemu. Żąda doszczętnego ich wytępienia, nie wyłączając niemowląt...

Nadął wargi, brzęknął pałaszem i dodał:

— No, niemowlęta w gruncie rzeczy nie są winne, że mają ojców tak nikczemnych...

W Wersalu nieco później, kiedy burmistrz Rameau przyszedł prosić o zmniejszenie kontrybucyi, utrzymując, iż rząd w Tours nigdy tak wysokiej pożyczki nie zatwierdzi, kanclerz odparł:

— Powiedz pan tym idyotom, że nie mają wy-

obrażenia o wojnie; jesteśmy panami położenia, zabierzemy więc, co się nam podoba...

Wybić, wydusić ojców nikczemnych, opróżnić do dna ich skrzynie, pozostawić przy piersiach matczynych ogłodzoną dziatwę,—dokonać tego wszystkiego można było tylko pociemku.

Dużo głodu i chłodu zaznać, dużo krwi z siebie wytoczyć trzeba bylo pierwej, nim się w Paryżu napewno dowiedziano i przekonano, że w wigilię utworzenia rządu obrony narodowej istotna obrona leżała już pogrzebana w prochu i nicości, że oprócz spóźnionej 40-tysięcznej odsieczy sedańskiej generała Vinoy, jako tako uzbrojonej, nie odszukałbyś w arsenałach Francyi ani jednego całego tysiąca karabinów, z dopasować się do nich dającemi gotowemi nabojami i bagnetami. Biedny autor „Idei napoleońskiej" i „Historyi Cezara!" A jemu się zdawało w ciągu kilkunastu łat panowania, że czujność i troskliwość opieki ojcowskiej aż nadto wystarczą dla zapewnienia szczęścia rodzinie kilkudziesięciomilionowej! A on tak uparcie sobie i innym perswadował, że dość jest mieć światłe widoki i dobre intencye we własnej wszechpotężnej głowie, aby już przez to cudze niedołężne ręce stracily pochop do łupu i kradzieży.

XII.

Bez boju.

Miodowe chwile rzeczypospolitej trwały w Paryżu całą jedną dekadę od dnia 4-go do 14-go września. Na upojenie tych dni dziesięciu wpływały nadzieje najrozmaitszej treści.

Na pierwszem miejscu jaśniało przeświadczenie, początkowo niemal powszechne, podzielane w części przez członków rządu obrony narodowej, że król pruski nie zechce toczyć wojny z ludem francuskim. Powoływano się na jakąś odezwę niemiecką, wydaną przed przekroczeniem granicy alzackiej.

Jules Favre wspominał o niej ogólnikowo w swych cyrkularzach; dzienniki parafrazowały ją naoślep, w akompaniamencie szerokich dla domyślności publicznej marginesów, ale tekstu dokumentu nikt nie widział i nie czytał. Dopiero znacznie później, gdy już Paryż szczelnie zewsząd został otoczony, generał Trochu, razem z urzędową wiadomością o kapitulacyi Strasburga, otrzymać miał nr. „Monitora" berlińskiego, który tłómaczy, iż król w począt-

kach wojny w rozkazie dziennym do wojsk polecił oznajmić: „jako wojna toczy się wyłącznie z armią francuską, nie zaś z ludnością spokojną, pilnującą swych zajęć domowych..."

Spory zasób otuchy przywieźli też z sobą wygnańcy 2-go grudnia z Ludwikiem Blanc i Feliksem Pyat na czele. Pośpieszyli oni do ojczyzny tuż zaraz w ślady Wiktora Hugo, któremu z Brukselli najbliżej było doskoczyć do Paryża z odsieczą. A ponieważ znacznie wcześniej jeszcze, dobra połowa arystokracyi stolicy, głównie bonapartystowskiej, wyniosła się na pobrzeża morskie, miasto odrazu przybrało koloryt gorący, demokratyczny, ostro rewolucyjny. Ze wszystkich rogów ulic i kiosków wyskakiwać zaczęły plakaty, broszury, czasopisma o tytułach płomiennych: „Walka," „Okrzyk ludu," „Kraj w niebezpieczeństwie," „Bijmy wroga," „Bez pana i Boga" i t. p.

Nie przysporzyło to Paryżowi ani jednej garści prochu, ani jednego funta kul, których w owej chwili potrzebowano najbardziej, ale roziskrzyło na parę tygodni animusz proletaryatu wyrobniczego — zarodkowego owego gąszczu armii możliwej, do trzechkroć stu tysięcy wynoszącej. Przytem w korespondencyach do nowych organów z Londynu, Bazylei, Florencyi posypały się wieści błogie i narazie pożądane, chociaż w gruncie rzeczy przesolone, o sympatyach ku Francyi mas ludowych, o zwołanych meetingach, o zapowiedzianych w izbach interpelacyach i t. d. Poszło tego coś niecoś na dobro Francuzów, ale znacznie więcej na korzyść Niemców. W głównym sztabie pruskim każdy ognistszy

numer dziennika „Combat” witano z radością, nieraz z zapałem.

Artykuły Thomas-Grimma w „Petit Journal,” odznaczające się ciętością niezwykłą,—„Nordeutsche Allgemeine Zeitung” przedrukowywała w całości; kiedy zaś Feliks Pyat ogłosił składkę na zakupno honorowej strzelby temu, ktoby ze świata sprzątnął największego winowajcę owej bratobójczej wojny (króla pruskiego), wiadomość o tem tegoż jeszcze dnia dostała się telegraficznie do New-Yorku i Kałkuty. Tych, którzy mieli upaść—należało wpierw zbeszcześcić.

Około 10 — 12-go września ukazały się na ulicach Paryża pierwsze oddziałki Vinoy, który w odwrocie z pod Mésieres (w pobliżu Sedanu) złożył dowody męztwa i wytrwałości, godnych pióra Ksenofonta... Żołnierze, w nieustających kontramarszach i skręcaniach z drogi przed pościgiem nieprzyjacielskim, byli tak zmęczeni i zagłodzeni, że wyglądali jak szkielety, jak mary. To ich jednak nie oszczędziło przed niezbędnością manifestacyi pokrzepiającej: musieli po razy kilka przerzynać stolicę wzdłuż i poprzek, z muzyką, bębnami i okrzykiem: „Niech żyje Francya, niech żyje lud!”—w odpowiedzi na siarczyste powitania tłumów: „Niech żyje armia! niech żyje rzeczpospolita!” W parę dni później w tymże celu naznaczono ogólną rewię gwardyi narodowej ruchomej i umiejscowionej wzdłuż bulwarów włoskich. Widok, nie przeczę, był do głębi wzruszający. Młodzież w mundurkach szkolnych, starcy siwobrodzi w paltotach, robotnicy w bluzach—rumieńce na twa-

rzach, łzy w oczach, przysięgi na ustach, kwiaty na lufach karabinów.

Nie sposób mi jednak zdobyć się dzisiaj, gdy sobie to przypominam, na żadne podnioślejsze, barwniejsze słowo opisu. Świadomość rezultatów ujemnych, przytłacza mózg swą nicością, zdziera z uczuć świeżość ich pierwotną, mrozem ścina resztkę gorączek dawnych, zwłaszcza, że przedsmak tej okropnej, upakarzającej niemocy dobrych naszych chęci i najwznioślejszych poświęceń wobec brutalnego wszechwładztwa faktycznego skutku dał mi się dobrze we znaki tegoż jeszcze wieczora, 13-go września, gdy otrzymany karabin na żaden sposób w bagnet uzbroić się nie chciał; dopiero nazajutrz rusznikarz utulił rozpacz nowozaciężnego gwardzisty, spiłowawszy od wnętrza osadkę bagnetu do cienkości bibułki papierowej.

Zapaliły się lasy w Bondy na północ od Paryża. Grube kłęby dymu chmurami kładły się na przezroczystą oponę niebios, gorzki ich powiew wygryzał oczy, swąd spalenizny tamował oddech—dla duszy aromat kwiatów najpiękniejszych nie byłby milszym.

— Prusactwo spraży się tam na skwarki! — powiadano sobie.

A bliżej ku okopom wre tymczasem we dnie i w nocy czynność nieustająca, szalona. Ścielą się pod toporami odwieczne drzewa, znikają ogrody i parki, gruz z pod obalonych pałacyków wiejskich idzie na szańce przedwrotne, rosłe konie normandzkie, wyprzężone z omnibusów aż się w kabłąk wyłamują pod ciężarem dział marynarskich, zataczanych

na waly. I w takt ogluszającego tego huku serce z radości skacze.

Nareszcie! — rozpoczyną się oto akcya straszna, niewidziana od daty zburzenia Jerozolimy przez Tytusa. Studenci, inżynierowie, komiwojażerzy, dziennikarze, chłopcy od zaryglowanych na glucho magazynów bulwarowych, szepczą sobie właśnie na ucho, że w Ratuszu pod prezydencyą chemika Berthelota od trzech już tygodni zasiada „komisya piekielna,” obmyślająca środki obrony, o jakich świat dotąd nie słyszał: machiny, wyrzucające w powietrze cale prowincye, ognie gregoryańskie, ziejące na odległość kilkunastu kilometrów, bomby rozmiarów okrętowych, przelatające ponad głowami nieprzyjaciół i uderzające na nich z tyłu, góry beczek z naftą pchnięte z biegiem Sekwany w sam środek obozów niemieckich i rzygające tam lawę pompejańską.

Wynalazki Berthelota skończyły się na jego lamentach i skargach przed Renanem, Saint-Victorem, Chojeckim i Nefftzerem (redaktorem dziennika „Temps”) w restauracyi Brebanta; działa na okopach zagrały po raz pierwszy dopiero za Komuny; wille i sady przedmiejskie, nie tknięte stopą i ołowiem wroga, spłacono później z tych samych sum, któremi okupiono pokój frankfurcki (10-go maja 1871); puszcze Bondy wypaliły się na tydzień przed nadejściem Niemców, pozostały natomiast nieporuszone lasy Clamart na wyżynach południowo-zachodnich, dominujących nad słabszemi fortami Paryża: Montrouge, Vanves, Issy.

Temi to wzgórzami, pod przykryciem gęstych zarośli, podkradnie się w dniu 19-ym września kilka

pułków bawarskich i poznańskich, uderzając znienacka na prawe skrzydło trzech dywizyj francuskich (Caussade'a, Manssiona i d'Hugues), rozłożonych w okolicach Bagneux, Meudon i Chatillon. Po kilku strzałach wszystko to pierzchnie w nieładzie okropnym, wśród przekleństw i paniki takiej, że korpus XIV ty, stojący załogą na przeciwległym krańcu Paryża, pod portem Vincennes, w galop biedz będzie musiał przez całe miasto dla osłonięcia najbliższych przed okopami pozycyj w Montrouge, a feldmarszałek Moltke po raz pierwszy w tej wojnie ujrzy się w położeniu kłopotliwem, gdy go król spyta: dlaczego nie wsiadł na karki pierzchających i pod Łuk Tryumfalny do stolicy na nich nie wjechał?

Ku wieczorowi Paryż—bez boju—był już osaczony i zamknięty. Wewnątrz, nikt się na tem nie spostrzegł, nikomu do głowy nawet nie przyszło wywiadywać się na razie, czy cóś podobnego jest możliwem.

Kawiarnie były przepełnione, rozbrzmiewały wesołością i śmiechem, na ulicach rozlegała się skoczna nuta świeżutko skomponowanej piosenki patryotyczno-sarkastycznej: *As-tu vu Bismarrrrrcke à la porte de Chatillon?—as-tu vu Bismarrrrrcke?*

XIII.

Dwie bliźnie ruiny.

Pod koniec września, a może już w początkach października, w sali Grand-Orient wypadło mi, nie wiem z czyjej zachęty i z czyjego upoważnienia, głos zabrać. W podwójnem więziennem zamurowaniu, z kamienia i żelaza, opasującem „stolicę cywilizacyi,” dźwięk naszej mowy—odczyt mój—przebrzmieć miał samotnie, bez echa, bez odpowiedzi i bez protestu.

Paryż w owej dobie październikowej raz jeszcze i w mgnieniu oka się przeobraził. Klęska oczyszcza. Godzina rozmowy sam na sam ze śmiercią starczy niekiedy za wiek doświadczeń gnuśnych. Owe osławione trzy dywizye korpusu XIII-go, które w dniu 19-ym września tak niespodzianie opróżniły plac walki, one nawet powetować i zatrzeć zdołały swą zniewagę wcześniej, nim wieść o hańbie dostała się do niezbyt czujnych na własną niesławę dzienników. Opamiętane, nie dały się przekonać perswazyi wodzów, ani widokowi czterykroć liczniejszego nieprzyjaciela,

oszańcowanego po wszystkich wzgórzach, po za wszystkiemi domami i ogrodami Bagneux, Meudon i Chatillon. Z bagnetem w ręku, pod piekielnym ogniem artyleryi zasadzonej w Clamart, łbem i piersiami zdobywając każdą piędź ziemi zabarykadowanej, w pień wycięły, lub bez śladu z całej tej miejscowości wyparowały onegdajszego zwycięzcę. A gdy pod wieczór resztki bohaterskich tych mścicieli, okrwawione, dogorywające, przełamane, wracały do koszar, zamienionych w szpitale, oblicze tłumów, wychodzących na ich spotkanie, było zupełnie wypogodzone, spokojne, czyste, skamieniałe. Już i z oczu kobiet łzy nie ciekły.

Pierzchły widzenia apokaliptyczne, rozchwiały się proroctwa złudne. Wionęła rzeczywistość chło dna, spędzająca widziadła senne—oprócz jednego. Ale i ono miało postać raczej rachuby godziwej i realnej, niż zwodniczej mary. Masowy ruch ludu wiejskiego, skierowany ku oswobodzeniu stolicy, zawieść przecież nie mógł.

Trzy do czterechkroć sto tysięcy Niemców strzedz musiało fortec takich, jak Metz i Belfort; drugie tyle rozłożyło się dokoła Paryża; część jakaś zajęła się służbą komunikacyjną, podjazdową, zabezpieczającą skrzydła i tyły rozciągniętych obozowisk i linij operacyjnych. Wobec nieuniknionego w takich razach rozproszenia i rozcieńczenia sił, najprostsza powódź miliona cepów i siekier będzie wystarczającą... I na przylot tego to archanioła oczekiwać miano do ostatniego kęsa zapasowego chleba.

Dzień był chmurny, wietrzny.

W sali, oświetlonej jednym tylko rzędem okien

(po stronie lewej od wejścia), błąkały się pomiędzy ławkami gęste cienie, zamętnie przecinające nikłą i mglistą tkaninę popołudniowych jesiennych brzasków. Zeszły się tu, stosunkowo dość gromadnie, dwa zrujnowane pokolenia: starsze, liczące wtedy kilkudziesięciu jeszcze przedstawicieli, i młodsze, nie o wiele dziś od tamtego zasobniejsze.

Nie mocno, z kajetem w zanadrzu, pchnąłem przed sobą zwarte podwoje — i gdyby nie mundur gwardyi narodowej na mnie, nie przypuszczający rejterady, z pewnością w kątbym cisnął zaraz od progu i ten rękopis i tę chwałę jedynego prelegenta w oblężonym Paryżu, i dzisiejsze z tego powodu zaciekawienie czytelnika.

Dotkliwy chłód grubemi płatami śnieżnej rozwagi osiadał mi w duszy, głowa palała, gdy serce tłukło się w piersi, jak strapione zwierzę w zasadzce. Pierwszy raz w życiu i niezawodnie po raz ostatni odezwać się trzeba było publicznie, w żywem słowie, a w takich warunkach, w takiem otoczeniu... Ze słuchaczami przytem—moja to wyłącznie wina—nie łączyła mnie żadna zażyłość bliższa, serdeczniejsza, towarzyska, powszednia. Niesłychanie inaczej, niż wszyscy, zapatrywałem się aż dotąd na zadania i obowiązki ogólne, zbiorowe. Aż dotąd!... tu zaś obecnie nadchodziła chwila przełomu. Należało wyznać, że nietylko ty, lub ja, nietylko jeden, lub drugi szereg stających do apelu, lecz wszyscy my pomyliliśmy się najfatalniej, najgruntowniej i najgłupiej.

Centnarowym ciężarem podeszew wstępowałem na stopnie katedry. Do widzów obróciłem się na

podwyższeniu prawie po wojskowemu, na lewo w tyl i bez ukłonu, bez pozdrowienia. Nie siadając, silnie tylko oparty prawą ręką o krawędź stolu, podniosłem w lewej ręce kartki do oczu. Czytałem, to znów z pamięci mówilem nie dlużej nad trzy kwadranse. Gdym skończyl, odezwala się podzięka równa, matowa, bez jaśniejszego odblasku, zupelnie taka, jak kiedy komu szczerze powiadamy: ma się rozumieć, wiadomo, oczywiście. Wychodzącego ujął ktoś za dłoń:

— Dobrze... nieźle... wcale dobrze!...

Naprawdę, co w sobie mieścily moje „Dwie bliżnie ruiny?" Trochę łataniny literackiej, trochę komunałów naukowych, pociągniętych farbą erudycyjną, lub krasomówczą ze źródel różnorodnych: z Comte'a wystudyowanego przed trzema laty na sześciu tomach jego „Filozofii pozytywnej," z Proudhoma, przeżutego we wszystkich bez wyjątku pismach, z filozofów na pół mistycznych, jak Huet i Cieszkowski, z historyozofa belgijskiego T. Laurént'a, z kilku główniejszych frazeologów naszego światoburstwa, pokiereszowanych lub poprzewijanych lekcyami sorbońskiemi wszelkiego miana.

Formalnie i na ogól — drobiazg to byl małej wartości, zawily, pretensyonalny, niedojrzaly, lichy; w istocie i w podstawie — uczciwe i poważne zaakceptowanie nowozdobytego przeświadczenia na dwóch punktach: po pierwsze, że fachowo-mechaniczne, sztucznie podniecające sposoby, t. zw. podjęcia na nogi tłumów w leb biorą i wzięły stanowczo; powtóre, że dla najzacniejszych i najprawowitszych na tym gruncie celów istnieje tylko droga nauki i pracy

mozolnej, długiej, straszliwie opornej, męczeńsko uciążliwej. Jak na wypadek dany, ostry i gwałtowny, znaczyło to, że dla Paryża niema ratunku i ocalenia po za zasadą: sam sobie i o własnej sile. Pomimo pozorów i przeslanek książkowych, na powyższą konkluzyę malo naprawdę wpływała książka; znacznie więcej — życie. Usuwam z rachunku pozostałości wrażeń dawniejszych, z czasów bezwzględnie anormalnych. Ale w okresie lat od 1866 do 1870 ciągle ocierałem się o gmin francuski prowincyonalny, z nim żyłem, robociznę jego z nim odbywalem. Przed samą wojną, kiedym z Paryza na dni parę udał się byl do Carouge pod Genewą i wracać ztamtąd wypadło pieszo, bez grosza przez całą Francyę środkową, wzgórzystą do Poitiers, pod strzechę starego przyjaciela, zaznałem co to jest gościnność chłopska — i co to jest kolano chłopskie. Nie istniala dla mnie wątpliwość pod względem pytania: czem jest wieśniak zachodnio-europejski wobec oświaty miejskiej i jaką pięścią mierzy ogładę swojego *bourgeois*. Ilekroć przychodzisz do niego z jakiegokolwiek ogniska handlu i przemysłu, a cóż dopiero z Paryża, niezbędnie potrzebujesz mieć przy sobie albo kiesę zlota, albo pluton szaserów.

Chciał traf, że splowiałe nieco i dymem wypadków okopcone obrazy tych czasów odświeżyła, przed samem zamknięciem Paryża, jedna z najboleśniejszych scen, jakich kiedykolwiek bylem świadkiem...

Postawiono mnie na warcie u drzwi kościola, w którego przedsionku złożono tymczasem trochę przedmiotów wojskowych. Od dworca kolei St. La-

zar nadciągał oddział marynarzy bretońskich, w kurtkach, bez żadnej broni, osób może z pięćset. Po zwyczaju, wszystko to padło przed kościołem na kolana. W gromadce widzów zaśmiał się ktoś może, lub rzucił jakie słówko lekkomyślne, dość, że w jednej sekundzie okrążyła mnie wściekła, szalona burza. Szyldwacha nie tknięto, ale nie oszczędzono ani dzieci, ani starców, ani niewiast: wysoki pomost utworzył się z tego na chodniku. Nadleciał batalion gwardyi z odsieczą potłuczonym mieszczuchom. Bretończycy stawić się chcieli ostro gwardzistom *bezbożnym*...

Mignęła przedemną blada twarz ostatniego momentu życia: starcie bowiem zdawało się być nieuniknione. Ale z furty bocznej wyszło kilku kapłanów w komżach. Zatarg ucichł. Wieś ustąpiła pokornie.

Trzeba jednak było widzieć te krępe, osadziste ramiona, te krzywe nogi przy robocie, trzeba było spojrzeć w te źrenice dzikie, rozognione, mające w sobie jakiś wyraz zaciętości rozpasanej, jak gdyby z nich przed chwilą zdjęto wędzidła stalowe. Nie weszło to do Paryża dla jego obrony: to była awangarda przyszłych poskromicieli i pogromców komuny, to była straż przednia dobrej połowy Francyi, uważającej połowę drugą za skażoną, przeklętą, za obmierzłą dziedzinę Antychrysta, czy za coś w tym guście. Więc i ta odsiecz ogólna z prowincyi, na którą liczono w Paryżu, te przyszłe armie nadloarskie lub normandzkie, alboż z innych żywiołów składać się miały?

XIV.

Nędza oblężonego miasta.

Wrażenia osobiste, z konieczności ograniczone, dopełnię kilku jeszcze szczegółami z innych źródeł...

Pierwsza obszerniejsza wzmianka o wypadkach wojennych 1870 znajduje się w pamiętniku Goncourtów pod dniem 6 sierpnia 1870; jest to data ciężkiej przegranej Mac-Mahona pod Wörth. W Paryżu znaleźli się ludzie, co w celach spekulacyi giełdowej z klęski tej urządzili wielką manifestacyę narodową, a to z pomocą rozpuszczenia fałszywej wieści o walnym jakoby tryumfie oręża francuskiego. Oto jak zdarzenie to opisuje pamiętnik:

— Z galeryi sztychów w bibliotece publicznej, widzę tłumy, pędzące przez ulicę Vivienne. Rzucam instynktownie książkę z rysunkami, wypadam na bruk i biegnę za innymi. Plac Giełdy od dołu do góry zalany ludem; głowy odkryte, kapelusze w powietrzu, Marsyliankę śpiewa artysta Capoul z wyżyn omnibusu przy Giełdzie, śpiewa ją na bulwarach

włoskich Marya Sasse w swym powozie, unoszonym przez łud upojony. Ale depeszy, zwiastującej pobicie księcia następcy tronu pruskiego i wzięcie do niewoli 25,000 Prusaków, depeszy, rozwieszonej — powiadają—na wewnętrznych ścianach Giełdy, a oglądanej, w dziwnem zaślepieniu halucynacyi na własne niby to oczy przez tych, których o jej treść zapytują wewnątrz już gmachu, przez tych, co wskazując palcem na gołe ściany, powiadają mi: „ależ patrz! oto jest właśnie depesza..." depeszy tej odkryć nie mogę nigdzie, przetrząsając wszystkie kąty i zakątki Giełdy...

Dziwnie smutno wygląda, jako kontrast, opis dnia następnego (niedzieli 7 sierpnia). Straszliwe milczenie na bulwarach. Ani jednego toczącego się po bruku powozu, ani jednego radosnego dziecięcego okrzyku za miastem, a na widnokręgu, z oddalenia, widok Paryża, w którym, zdawałoby się, zamarł wszelki odgłos życia.

Niedzieli następnej (14-go sierpnia), po nowym zawodzie, spowodowanym wskutek niesprawdzenia się urzędownie zapowiedzianego odwetu za Wörth, Goncourt pisze:

„Śmiertelnie smutny i zatroskany o losy ojczyzny, nie mogę wytrzymać w domu, szukam przytułku u przyjaciół i, błądząc z miejsca na miejsce, zapraszam się na obiad do Charles Edmunda (Chojeckiego). Znajduje u niego, w willi Bellevue, siadających do stołu: Berthelota i Nubara-paszę, Europejczyka rodem, który jednak, wskutek długiego pobytu w Egipcie, przybrał w zupełności powłokę południowca i na którego twarzy, delikatnie i dyploma-

tycznie zarysowanej, przebiega od czasu do czasu uśmiech, ukazujący białe zęby czlowieka dzikiego. Rozmowa toczy się o klęskach Francuzów, i Berthelot, którego upokorzenia nasze wobec Europy uczyniły chorym i wymownym, rzętelnie wymownym, opowiada głosem zanikłym o niezaradności powszechnej, faworytyzmie, zmiałczeniu ludzi pod osobistemi rządami Napoleona...

W powrocie z obiadu powozem Nubara, gdy, galopując przez miasto, pragniemy tu i owdzie zasięgnąć trochę nowin, Egipcyanin opowiada mi, że w Abisynii, ilekroć gdzie popełnione zostało morderstwo, rodzina zamordowanego spędza siedem dni i nocy w pobliżu domu mordercy, obarczając go złorzeczeniami i przekleństwami. Zdarzało się bardzo rzadko, zdaniem Nubara, ażeby morderca nie skończył nędznie.

— Mojem zdaniem—kończył Egipcyanin—chwila obecna, to rezultat sumy przekleństw, które na głowę Francyi ściągnął zamach 2-go grudnia...

Trochu — pisze dalej ironicznie Goncourt — to imię nowego teraz z kolei zbawcy Francyi, prezesa rządu obrony narodowej, pierwszego faktycznego naczelnika rzeczypospolitej, ogłoszonej 4-go września.

W pamiętniku dotkliwie czuć się daje brak sylwetki tego generała, o obnażonej jak kolano czaszce, o krótko ściętych, twardych wąsach, o gestach i wyrazie twarzy dymisyonowanego kaprala, Bretończyka, tępego jak oślica, a zarozumiałego jak Aleksander Macedoński. Lukę tę w książce łatwo sobie wytłómaczyć. Nie tęgi wojskowy, obrzydliwy dowódca, marny polityk i dyplomata, Trochu był idea-

łem konserwatysty i pobożnisia w mundurze. Dla takiego jak Edward Goncourt domownika arystokratycznych salonów st.-germeńskich, stałego gościa księcia Bonapartego, osobistego sekretarza jego żony, księżnej Matyldy, legitymisty i szlachcica krwi czystej, odzywającego się o republikanach nie inaczej, jak „ci rzezimieszki i gałganiarze", były to przymioty aż nadto wystarczające dlatego, aby figurę tę zatrzymać w szufladzie notat zdartych lub przekreślonych...

Wiadomo, do czego doprowadziły Paryż i jego osiemkroćstotysięczną ludność zbrojną strategiczne pomysły, zwłoki i mitręgi kunktatora paryzkiego. Do legendy o feldmarszałku mrozie, który Francuzów „pobił" w roku 1812, przybyła legenda o dyktatorze-głodzie, który w roku 1871 oddał Niemcom w ręce około miliona żołnierzy i do 3,000 armat wielkiego kalibru.

Przyszły ten zwycięzca—głód złowrogi—ukazał paryżanom twarz swą bladą i wychudłą nazajutrz niemal po zbliżeniu się wojsk nieprzyjacielskich pod wystrzały fortów paryzkich. Jakoż czytamy w pamiętniku:

„Wtorek, 27 września. Ogromne oburzenie przeciwko rzeźnikom objawiło się wczoraj w grupach na bulwarze Włoskim. Przed ratuszem ulicy Drouot jakaś kobieta wytoczyła całą kaskadę skarg i obelg przeciwko przekupniom, jakoby ukrywającym zapasy żywności w celu podwojenia jej cen za tydzień. Publiczność domaga się, aby sam rząd zajął się sprzedażą bydła i mięsa, usuwając w ten sposób pośrednictwo osób, kupczących nędzą ludzką i znęcających się nad nią...

Cały zresztą Paryż dziś już jest zaniepokojony o chleb swój powszedni. Zmierzając w stronę hali centralnej, słyszę za sobą dwie kobiety, powiadające z westchnieniem głębokiem:

— Nic już niema do jedzenia.

Rzeczywiście spostrzegam za szybą jednej z bogatszych restauracyi nader ubożuchną wystawę: parę kiełbasek w bibulce srebrnej — i tuż zaraz parę butli z konserwami trufli... W sławnej jadłodajni Lamberta, w pobliżu hali, białe marmurowe deski, tak niegdyś o tej porze suto obarczone drobiem i ćwiartkami bażantów, zajęcy i zwierzyny wszelkiego gatunku, dziś obnażone zupełnie: kadź rybna pusta, za cały ogród warzyw parę chudych marchewek. Tuż obok tłusta blondynka ofiaruje przechodniom, po cenach wygórowanych, zaśniedziałe blaszanki skondensowanego bulionu Liebiega...

Sobota, 1 października. Konina zakrada się już pokryjomu do żywności paryzkiej. Wczoraj u Petersa podano mi kawał smażonego mięsa, w którem malarskie moje oczy bez trudu wyśledziły czarniawą ową czarność, tak różną od różowej czerwieni wołowiny. Garson bardzo jakoś nieśmiało mnie zapewnia, że konina ta jest wołowiną niechybną...

Poniedziałek, 10 października. Idę zrana do ratusza otrzymać kartę prowizyjną, która mi do dnia 14 listopada zapewni każdodziennie parę łutów surowego mięsa.

Czwartek, 20 października. Ciekawie wygląda hala centralna. Na stołach, gdzie się sprzedawały najcenniejsze przysmaki z obydwu połów świata, spostrzegasz nóżki niby to cielęce, ale tak do charcich

podobne, że ci się usta do gwizdnięcia składają; zamiast masła podają ci tłuszcz zwierząt jakichś niewiadomych, pod postacią kwadracików szarego mydła i t. d. i t. d."

Tyle na razie Goncourt.

Cóż tymczasem robi sławny generał Trochu? Ano, codzień zrana jeździ na okopy, patrzeć przez lunetę, czy forty paryzkie stoją na miejscach, odbywa przeglądy gwardyi, każe ją uczyć mustry półplutonami, plutonami... Codzień przed południem i po południu gromady dzieci i starców z rozrzewnieniem przypatrują się na wszystkich placach i dziedzińcach Paryża szeregom nowych błękitnych mundurów, w porządku, po kilka godzin z rzędu poruszających się to wprzód, to wtył, krokiem zwyczajnym lub przyśpieszonym i z punktualnością machin wykonywających parę początkowych komend ze „szkoły szeregowca": „na ramię broń", „prezentuj broń", „do nogi broń", poczem wnet: „swobodnie broń" i marsz do domów. Nazajutrz to samo. To samo w październiku, to samo w listopadzie, to samo w grudniu 1870...

Nasz półpluton 207-go batalionu (Waligórski, Lewicki, Latkowski, Jasiński etc.) klął z początku te porządki paryzkie, aleśmy się później oswoili. Wysuwać się na czoło nie było ni grzecznie, ni pożytecznie. Przytem nie cieszyliśmy się popularnością zbyt wielką. Bo kiedy pewnego dnia batalion nasz po kapitulacyi Metzu otrzymał rozkaz manifestacyjnego wymarszu przeciwko rządowi w ratuszu, wystąpił Waligórski z szeregów, sprezentował broń i oświadczył w imieniu naszem kategorycznie, że

przyszliśmy bić się z Niemcami, nie zaś z Francuzami...

Mruczano czas jakiś, ale później dano nam pokój w wypadkach zajść wewnętrznych...

Kiedy tak niezdarnie i po próżnicy spędzano najpiękniejsze, niebywałą przychylnością niebios opromienione tygodnie późnej jesieni i początków zimy, akcya oblężnicza Prusaków rozwijała się dokoła Paryża coraz silniej i wyraziściej. Jakby dla oswojenia i ukolysania mieszkańców stolicy na czas pogody i ciepla, kiedy po ogródkach przedmiejskich hodować można było sałatkę, a może nawet wysiadywać kurczęta, nie slychać było ani kanonady żywszej od strony nieprzyjaciela, ani o żadnych jego zamachach na honor lub bezpieczeństwo paryżan i paryżanek, pędzących po kawiarniach w dalszym ciągu życie próżniacze, obostrzone tylko nieco postem. Śmiano się, żartowano z Bismarka, wyśpiewywano zwrotki na temat: *vous ne l'aurez jamais votre Rhin allemand*, kobiety zaś, zawsze uprzejme i czarujące, utyskiwały na mężczyzn jedynie zato, jak świadczy znający się na tem Goncourt, że „zbyt dużo poświęcali czasu połityce i dziennikom..." Dopiero w kiłka tygodni po zupelnem i szczelnem osaczeniu Paryża przez wojska pruskie pamiętniczek notuje:

„Zapowiada się bombardowanie miasta. Kazano mieć wodę na wszystkich piętrach do gaszenia pożaru."

Nie prędko jednak po wydaniu tego rozporządzenia nadleciały pierwsze bomby; wielkie oblężnicze działa Kruppa były jeszcze wtedy w drodze. W ocze-

kiwaniu na nie, Prusacy bawili się w zatykanie najdrobniejszych szczelin, któremi mogłoby się na zewnątrz wydostać choć jedno westchnienie ludności paryzkiej.

Z piątkową datą 28 października mamy w pamiętniku Goncourtów ustęp, wystylizowany przedziwnie:

„Szczególne to, cudowne, nieprawdopodobne, a jednakże prawdziwe: pozbawieni jesteśmy najzupełniej wszelkiej styczności, wszelkiego związku ze światem. Nie spotkasz człowieka, któryby się mógł pochwalić, że w ciągu ostatnich dni czterdziestu otrzymał jakąkolwiek wiadomość od swoich z prowincyi. Ilekroć trafem niesłychanym przeciśnie się numer jakiegokolwiek dziennika z Rouen, chwytają go i rozrywają wszyscy, jak nadzwyczajność jaką. Nigdy jeszcze, w żadnem świata więzieniu nie (słychanym) strzeżono równie czujnie ludności dwumilionowej. A dla przedarcia się przez tę obręcz żelazną nie widzisz nigdzie źdźbla myśli, dowcipu, odwagi... Zanikł wynalazczy geniusz Francyi!"

Mylił się na razie Goncourt. Nowina była już u wrót Paryża. Wiózł ją parlamentarz pruski.

„Poniedziałek, 31 października. Skończyło się: *finis Franciae!* Metz z całą armią Bazine'a poddał się." Alarm—bicie w bębny. Ulica Rivoli przepełniona tłumami, wzbierającemi w miarę, jak się zbliżałeś do Hôtel de Ville. Na placu zaś i przed frontem gmachu, zamęt nie do opisania. Raz po raz gęstą i spartą tę masę rozpruje, niby lemiesz glebę miękką, batalion gwardyi, nadbiegający z podjętemi w górę kolbami i z okrzykiem: Niech żyje komuna!

„Znikczemniała i zmysły tracąca czeń — pisze Goncourt — mniema, że zwietrzałym procederem rewolucyjnym i frazeologią jakobińską 1793 roku ojczyznę odrodzić zdola, bohaterskiego ducha w sobie obudzi..."

Ale i na komunę było jeszcze zawcześnie. Należało wprzód zakosztować gorącego żelaza Prusaków i powąchać w samym środku Paryża prochu niemieckiego, ponieważ nie starczyło we właściwym czasie męztwa i poświęcenia na to, ażeby pójść poszukać wroga za okopami Paryża i samym zwyciężyć lub dać się wyrznąć co do nogi. Teraz trudna już była rada...

„Poniedziałek, 28 listopada. Rozbudziła mnie w nocy kanonada. Natychmiast wstałem i poszedłem na górne piętro domu. Na niebie bez gwiazd, przesnutem od mojego wzroku gałęziami wysokich drzew ogrodu, zapalała się półkulisto od fortec Bicetre do fortu Issy wstęga nieustającego ognia. Światełka drobne, jak płomyki gazu, błyskały i nikły raz po raz, bez przerwy; następowały po nich szczęknięcia ostre i dźwięczne. Ponure te głosy śmierci wśród ciszy nocnej nurtują duszę do głębi. Po niejakim czasie żałobne psów wycie połączyło się z wydzwanianiem bronzu. Wylęknione szeptania ludzi, nagle ze snu zbudzonych, brzmiały jak modlitwa za umierających kędyś tam daleko. Zwiedziony snadź pozorami tego życia, domowy nasz kogut wyciągnął krzykliwą nutę czujności rannej. Niebawem wszystko zamilkło: ptastwo, ludzie, psy i armaty. Szemrała tylko w ciemnościach odległa strzelanina karabinowa..." Była to dopiero

zapowiedź bombardowania dzielnic lewego pobrzeża Sekwany: montrouge'skiej, montparnaskiej, gobelińskiej, uniwersyteckiej, i t. d. Pobrzeże prawe (Batignolles, Clichy, Montmartre i t. d.) uraczone zostało dopiero w grudniu, wraz z pierwszemi tęższemi przymrozkami. A feldmarszałek-głód szedł tymczasem i rozkazywał wciąż głośniej i głośniej, waląc ciężką swą buławą najpierw po głowach niemowląt, którym zbiedzone piersi matczyne pokarmu dostarczyć nie mogły, później niewiast wątlejszej budowy, dalej starców pochylonych wiekiem, w końcu już bez wyboru, kto się nawinął".

„Wtorek, 8 listopada. Targ na *Avenue Clichy*. Wzdłuż całej ulicy roztasowały się przedmioty wszelkiego miana i pochodzenia, o czem tylko głowa ludzka zamarzyć może: stare szarawary, cerowane pończochy, kawałki rur do żelaznych piecyków, umbrelki, malowidła w ramach złoconych i bez ram, burki, kalosze, kasy ogniotrwałe... Tylko chleba nigdzie ani kęska".

„Czwartek, 21 listopada. Sąsiad mój, zbierający zazwyczaj gałganki uliczne, obecnie zaś zajmujący się dostawą żywności do pobliskiej gargoty, płaci na hali zrana przed świtem: funt kociny sześć franków, funt szczurzyny frank jeden, funt psiny półtora franka".

„Wtorek, 29 listopada. W restauracyi Brebanta mowa o ogromnej ilości osób zamożnych, które naraz popadły w nędzę największą. Chojecki opowiedział epizod następujący: Żona jego znajdowała się u swego rzeźnika; wchodzi kobieta, ubrana staranniej jak z wyższego towarzystwa, i żąda odpadków koń-

skich za solda ($^1/_{20}$ franka)... Pani Chojecka nieznacznie wetknęła jej do dłoni sztukę monety srebrnej... W odpowiedzi kobieta zaczęła łkać, zalewając się gorzkiemi łzami".

„Sobota, 10 grudnia. Gorączka głodowa błyszczy w źrenicach tłumów, rysuje się na wszystkich twarzach. Ludzie schudli do połowy, topnieją w oczach. Spotykam Teofila Gautier, który mi pokazuje nowe swe szelki; na jego wydatnym niegdyś brzuszku pantalony już się utrzymać nie mogą".

„Czwartek, 22 grudnia. Kilku moich znajomych zaproszonych zostało na obiad przez oficera, który im obiecał ryby, zwierzynę i trufle. Stawiono się punktualnie. Okazało się, że cała ta historya obmyślona była jedynie w celu wyłudzenia 5 franków na fiakra".

„Niedziela, 25 grudnia. Słyszę żołnierza, powiadającego: „Mieliśmy na wigilię pięciu żołnierzy, którzy pod piecem zmarzli".

Filozoficzna i cywilizacyjna strona wypadków wojny 1870 r., o ile odbiła się na mieszkańcach Paryża, przedstawiona została w pamiętniku Goncourtów pod postacią dyalogów między kilku literatami i uczonymi, zbierającymi się na obiady u znanego paryzkiego restauratora. W dyalogach tych, oprócz Goncourta, brali zazwyczaj udział: Renan, Saint-Victor, Berthelot, Nefftzer (wydawca dziennika *Le Temps*), Chojecki, Karol Blanc (estetyk), Bertrand (matematyk), Ludwik Blanc (od d. 1 listopada) i t. d., przyczem Renan i Nefftzer są stale w opozycyi, jako obrońcy lub zwolennicy Niemców, oświaty niemieckiej, rasy niemieckiej.

Wiarogodność niektórych zdań, przypisanych Renanowi, zakwestyonowana została w czasopismach przez samego Renana; ze względu jednakże na zbyt zwięzłą gołosłowność tego zaprzeczenia, poprzestajemy na wzmiance o niem, nie krępując się przez to w wyborze następującej cytaty:

Pewnego dnia zagadano o rozmaitych rodzajach broni. Któryś ze współbiesiadników zauważył, że broń ulepszona nie służy Francuzom, nie odpowiada ich temperamentowi. Strzelić byle jak, byle czemprędzej i rzucić się zaraz na bagnety, oto w co graj naszemu żołnierzowi; gdy to dostępnem dla niego nie jest, czuje się on jak sparaliżowany. Stać się machiną żywą, rzecz to nie jego, a na tem właśnie polega w tej chwili wyższość nad nim Prusaka.

Renan podniósł głowę z nad talerza:

— We wszystkich sprawach — rzekł — nad któremi się zastanawiałem, lub które badałem, uderzała mnie zawsze wyższość umysłowości i pracy niemieckiej. Nie dziw przeto, że i w sztuce wojskowej, niezbyt wprawdzie wytwornej, lecz bądź co bądź skomplikowanej, Niemcy również pozyskali pierwszeństwo przed nami... Tak jest, panowie, Niemcy są rasą wyższą...

— O ho, ho, ho! — dały się słyszeć wołania zewsząd.

— Z pewnością—odparł, ożywiając się, Renan— o wiele wyższą od nas. Katolicyzm jest karłowaceniem jednostki: wychowanie jezuickie i w ogólności zakonne zatrzymuje i gniecie wszelką cnotę samodzielną, wtedy gdy protestantyzm ją rozwija...

Berthelot nie przestawał ze swojej strony wy-

kazywać nędzy i głupoty jegomościów, stanowiących rząd obrony narodowej; Goncourtowi wyrwało się mimowolnie:

— Więc nie ma ocalenia i nie pozostaje nam nic więcej do czynienia, jak wychować nowe pokolenie do zemsty i odwetu?...

Na to Renan, zrywając się z siedzenia, cały purpurą oblany:

— Odwet? Zemsta?... O, nie, nigdy! Niech zginie Francya, niech zginie Paryż, a niech się stanie zadość wymaganiom obowiązku, rozumu...

Zgromadzenie całe zawyło przy stole w głos jeden:

— Nie, o nie, stokroć nie! Nie może być i nie ma rzeczy świętszych nad ojczyznę!

A najgłośniej i najdonośniej, trzęsąc się od złości, Saint Victor:

— Do stu piorunów, nie! Precz z temi racyami niemieckiemi, precz z tą etyką bizantyńską; nic nad ojczyznę droższego, większego być nie może!

Spory takie powtarzały się raz po raz, a nuta zwątpienia, niewiary i rozpaczy brzmiała w nich coraz wyżej, w miarę znikania w Paryżu mięsa i chleba. Oto jest jeszcze najmniej pesymistyczna:

W początkach listopada panowie obiadujący u Brebanta wpadli na temat braku zdolnych oficerów.

— Rząd powołuje dymisyonowanych — powiadał Berthelot.— Jestże coś niedorzeczniejszego wobec pewności, że tylko pokolenie młode mogłoby wydać z siebie zdolność jakąś, dowódcę, stojącego na wysokości zadania. Należałoby zarządzić drobne, a czę-

ste wycieczki za forty, należałoby niepokoić, szarpać nieprzyjaciela bezustannie. Ktoby się w tych wyprawach odznaczył pierwszy, zostałby pułkownikiem, po drugim, trzecim dowodzie umiejętności i odwagi zrobionoby go jenerałem. Ale gdzietam! Awanse przeznaczone są dla armii sedańskiej, tak jest, powiadam wam bez żartu, dla armii sedańskiej...

— E, dajcie tam pokój! — zauważył sceptyk jakiś — zmieniajcie, jak chcecie oficerów, wyjdzie zawsze jedno i to samo...

I znów zagadano o niebawnej śmierci Francyi, o wyczerpaniu się jej siły żywotnej, o straszliwych męczarniach, przez jakie krajowi przejść wypadnie, wpierw nim skona... A słysząc to, Renan, z rękami komicznie na piersi złożonemi, sypie i sypie do ucha Saint-Victorowi ustępy z Biblii o zburzeniu nierządnego Babilonu...

— Wiecie, co zgubiło Francyę? — woła z kolei Nefftzer — oto rutyna, retoryka...

— Tak jest — potwierdził Teofil Gautier z westchnieniem — klasycyzm nas zgubił...

XV.

Zgon lub hańba.

Nie mieliśmy wyobrażenia o tych renanowskich i goncourtowskich zwątpieniach. Obracając się w ściślejszem kole rodaków lub wśród batalionów gwardyi uboższego autoramentu, słyszeć nie mogliśmy tak mdłych, wyrafinowanych rozumowań. Niemniej fatalne rozwiązanie istotnie zbliżało się coraz szybciej, a robak zgryzoty i frasunku nad tem, co będzie dalej, do każdego serca zakradał się powoli.

Z zewnątrz miewaliśmy teraz wieści coraz częstsze, ale były prawie zawsze złowrogie, przytłaczające. Wiadomość o obwołaniu w Wersalu w dniu 18-m stycznia 1871 r. cesarstwa niemieckiego przedarła się do oblężonego Paryża tegoż samego jeszcze wieczora. Ogłosił ją dziennik *Le Soir* w drugiem, czy trzeciem swojem wydaniu, na które czekano niekiedy tłumnie przed kioskami do północy. Nie

sprawiła ona najmniejszego wrażenia. Opis miał w sobie coś uderzająco oschłego i zarazem sarkastycznego, pochodził, być może, z tych samych oficyn redakcyjnych, które w lat kilkanaście później brały udział w przygotowaniu do druku sławnych *Pamiętników* cesarza Fryderyka III. „Król Wilhelm w ciągu obchodu był posępny i niezadowolony; okrzyki heroldów, otwierające paradę, brzmiały złowrogo, budziły jakieś echa stare, dawno minione, grobowe, kazanie pastora sztabowego było aktem oskarżenia przeciwko Ludwikowi XIV; przed modlitwą zapomniano kazać wojsku „zdjąć czapki"; po odczytaniu krótkiej przemowy króla do monarchów niemieckich wystąpił Bismark i monotonnie, nawet sucho, wypowiedział kilka ogólników do ludu niemieckiego; wysunął się po nim wielki książę badeński i zawołał: „Niech żyje jego cesarska mość cesarz Wilhelm!" a następca tronu ukląkł przed ojcem i pocałował go w rękę; wieczorem wszyscy książęta zebrali się u następcy na kolacyę; wersalczycy sądzili z początku, że króla Wilhelma wybrano na cesarza Francuzów; mera miasta Rameau, który wieść tę chciał sprostować plakatami, skreślonemi w wyrazach niezupełnie parlamentarnych, wsadzono do kozy..."

Taka była treść relacyi dziennika *Soir*, niezbyt daleko odbiegająca od osnowy, podanej w pamiętniku Fryderyka III (Posiadacz i numer i wyjątek z „Pamiętnika" do skonfrontowania).

Bulwary paryskie zalegała ciemność, gazu w latarniach nie zapalano już od dni kilku, bo go zabra-

kło w zbiorniku głównym. Relacyę dziennika *Soir* gwardziści odczytali sobie przy kagańcach sklepowych, ten i ów pokiwał głową, trzeci machnął ręką i rozeszli się wszyscy do domów lub na posterunki w zadumie głębokiej. Zupełnie czem innem każdy był zaprzątnięty. Na dzień jutrzejszy, na godzinę 6-ą zrana gotowała się rozprawa ostatnia, rozstrzygająca. W oddaleniu, z po za mgieł nocnych, posrebrzonych mrozem, wydobywał się głuchy turkot wozów, ciągnących amunicyę i żywność ku podwórzom fortu Mont-Valerien. Wojsko liniowe, bataliony wyborowej gwardyi narodowej, wyćwiczone kompanie marynarzy, z artyleryą i obozami, już o zmroku wymaszerowały za zachodnie bramy miasta. We dnie, dla zamaskowania głównego kierunku wyprawy, liczne oddziały przechadzały się po mieście w jednę i drugą stronę. Czy mogło to oszukać liczną i dobrze zorganizowaną kohortę szpiegów pruskich, wiedzieć trudno.

Moltke wyrażał się w swem dziele tak, jak gdyby żadne specyalne i niezwykłe środki odporne w głównej kwaterze niemieckiej nie były zarządzone z góry, zawczasu, lubo, w ogólności, atak przewidywano.

O fizyologicznej doniosłości chwili dla oblężonych sądzić można z tego szczególnie, że w następstwie zmniejszenia o połowę dziennej porcyi niemożliwego do przełknięcia chleba mężka połowa ludności stolicy całkowicie odżywiać się przestała.

Kartki dystrybucyjne my, młodzi, pooddawaliśmy kobietom, dziatwie, starcom, chorym; sami puścili-

śmy się na urwanego, onegdaj wydarło się komuś kawalek podeszwy, upieczonej i usmażonej dyabli wiedzą w jakim psim szmalcu; nazajutrz odbiliśmy drzwi opuszczonego przed wojną domu i z podpiecka wygrzebaliśmy trochę zgniłych obierzyn, lub spleśniałych skorupek od jaj, dziś pozastawialiśmy na łatwowierność szczurów genialnie pomyślane samotrzaski, biadając tylko nad tem, co włożyć do ich środka na przynętę.

Pomimo oswojenia się nerwów i umysłu z widokiem i pewnością śmierci, pomimo skupienia i wytężenia resztek energii, jeszcze wtedy niezużytej, gorączka dwumiesięcznego blizko głodu zaczynała powoli brać górę, buchała z ust spieczonych, iskrzyla się w omdlewających coraz częściej oczach; mózg, w naglem i dziwacznem przyznaniu się do pokrewieństwa z żołądkiem stawał się pustym i zarazem niesłychanie ociężałym; po jego zaniepokojonych komórkach włóczyły się jakieś duchy, raz wściekłe i buntownicze, to znów zapadające w otchlań rozpaczy i znicestwienia.

Nietylko na wynędznialych twarzach, ale i w głębi swego jestestwa czytaleś nieublaganą i groźną dwoistość wyroku: albo zaglada, albo straszniejsze jeszcze od niej upokorzenie.

Cierpialo się tyle tak długo, i czuło się oto teraz, że cierpienie poszło na marne, że nikomu potrzebnem nie było...

Nie może być większej nad to goryczy.

W rocznikach wielkich tryumfów siły brutalnej

pozostanie niezmazaną plamą, że wrogowie Francyi nie umieli nieszczęścia uszanować.

W obozie niemieckim nie znalazł się ani jeden umysł wyższy, cywilizacyjnie wyrobiony, któremuby okropne to położenie nasunęło myśl zacniejszą, uczucie podnioślejsze.

Od żołdaka do pierwszego ministra, od lokajczuka, pisarka do przyszłego władcy-filozofa, każdy się tam wysilał jedynie na dowcip wzgardy i naigrawania się — ów dowcip płaski, ciężki, plugawy, starogermański, o którym toż samo powiedziećby można, co Tacyt o pijaństwie tej rasy tępej i płodnej.

Nad Panteonem ukazał się nikły obłoczek dymu; wnet wszystko, co żyło, biegło na krużganki pałaców w Wersalu, na tarasy ogrodów w St-Germain-en-Laye, klaskało, śmiało się, skakało, a najpotężniejszy głowacz w narodzie, wyciągając się na fotelu, powiadał na tę wiadomość:

— Zaczekamy, aż swąd pożogi do nas doleci.

Przyprowadzano więźniów zziębniętych, odartych, w brudnych jak ziemia koszulach; tuż zaraz wychylał się z przepokojów królewskich historyk-erudyta i dowodził, że Francuz brudasem jest z rodu i zamiłowania estetycznego.

Zjawił się na forpocztach parlamentarz rządu obrony narodowej, zataczał się na drżących nogach, policzki mu od wstydu gorzały, to nic, nawet w notatkach Fryderyka III znajdzie się miejsce na obelgę dla człowieka, o którym powszechnie wiedziano, że

organizm jego jednej kropli spirytusu znieść nie był w stanie.

Koszarowa drwinka, głupiec i bezcelowe oszczerstwo, rozzuchwalony powodzeniem cynizm, dowodzić miały wyższości „kulturalnej," czy nawet „kulturnej," w obec której, naturalnie, taki Favre, gdy przybył prosić o zawieszenie broni na 48 godzin, „trząsł się i bełkotał, jak żydziak, pochwycony na kradzieży gruszek w cudzym ogrodzie" — Thiers zaś, gdy z niczem wrócił z podróży po dworach europejskich, „sadził się na sentymenty małomieszczańskie i przycupywał na krótkich nóżkach, jak gdyby ciasne miał buty."

Ani słowa, jest to język przywódców światłego i potężnego narodu; sami też oni o sobie wszystko to zapisali na niezbity i wiekopomny dowód zdrowia moralnego, czerstwości rozumu i wykwintu estetycznego.

Przedewszystkiem atoli przemawiały w ten sposób do nas i do potomnych czasów: pięść ciężka, kark twardy... — i nic już zresztą. Bo, czy da kto wiarę? Wobec „zgniłego i spróchniałego nowoczesnego Babilonu," wyskrobującego w drugiej połowie stycznia 1871 r. korytka po nierogaciźnie dla przekarmienia swych niemowląt, ludzie ci mocni, otoczeni całą siłą zbrójną czterdziestomilionowych zjednoczonych Niemiec, mieli taki dzień jeden, niestety, jeden tylko, w którym oporne wśród modlitwy czapki pokornie zdejmowali przed tragarzami i woźnicami z okolic Poissy, a praczkom wersalskim, jak gadka niesie, napróżno płacić chcieli nazajutrz po dukacie i po dwa od każdej sztuki bielizny...

Stało się to właśnie w kilka godzin po uczcie na cześć odgrzebanego za średniowiecznych rumowisk cesarstwa niemieckiego.

Trzeba wam szczegółowiej opowiedzieć, jak do tego przyszło i w jakich warunkach.

XVI.

Ostatnie wysilenia zbrojne.

„Wszystkie zbrojne wyprawy oblężonego miasta, choćby nawet najpomyślniejsze, kończyć się muszą na niczem";—z tego założenia wychodził komendant Paryża, generał Trochu.

Po złamaniu obręczy osaczającej, pozostają jej skrzydła poboczne, które każdej chwili uderzyć mogą na tyły wymykającej się armii, więc żywność żołnierz mieć musi na karku, a ileż jej unieść zdoła? Dlatego to zaczepne ruchy obrony w 1870—71 najściślej trzeba było stosować do widoków mniej więcej udatnej odsieczy zewnętrznej, prowincyonalnej.

I stosowano je punktualnie od samego początku, a raczej od kiedy pełnomocnictwo rządu w Tours przeszło z chwiejnych rąk starego Cremieux w żelazne dłonie młodego, przeszkód przed sobą nie widzącego Gambetty, po jego sławnym odlocie z Paryża w dniu 7-ym października, w tydzień przeszło po upadku Strasburga (28 września).

W parę dni później bawarski generał von der Tann, na czele niewielkiego korpusu, odciągniętego od armii oblężniczej, rozproszył niesforne oddziały generała La Motteuruge pod Artenay i zajął Orlean (10—12 października), niwecząc tym sposobem skutki spóźnionego nieco (13 października), lecz doraźnie zwycięzkiego natarcia załogi paryzkiej na ufortyfikowane stanowiska nieprzyjacielskie w Clamart, Meudon, Chatillon i Bagneux.

Gambetta natychmiast usunął od dowództwa La Motteruge'a i na jego miejsce powołał generała Aurelle-de-Palladine; wkrótce ze zdumieniem dowiedziano się w głównym sztabie niemieckim, że od południa (nad Loarą) i północnego zachodu (w departamentach bretońskich i normandzkich) ukazały się świeże z ziemi jakoby wyrosłe, wojska, których ogół, w końcu października, przesadnie obliczano na 600,000.

W Bourges, Evreux, Besançon, Rouen zawrzała działalność organizacyjna, przypominająca wielkie chwile 1792 r.

Dla odwrócenia od tych mas nieokrzepłych, niewyćwiczonych, czujnej uwagi wroga, Paryż w dniu 21-ym października po raz drugi wychylił się po za linię swych fortów w pokaźnym rynsztunku 100,000 żołnierzy i 120 armat polowych, przykrytych artyleryą fortu Mont-Valerien (bitwy Buzenval i Malmaison), zaś w dniu 28-m października generał Bellemare, bagnetem zdobył Bourget, odebrany napowrót dopiero 30 października, po jednem z najbardziej morderczych starć w całej tej epopei rzeźniczej.

Zbliżał się listopad. Zima zapowiadała się ostra

i odsiecz dwustronna ruszyła naprzód. Widok stał się odrażającym, haniebnym. Francya podobna była w tej dobie do człowieka napadniętego w domu, ogołoconego, odartego, a oburącz zasłaniającego swe serce i głowę od podniesionego topora napastnika.

Kilka bladych promyków nadziei przyniosła na początek poczta gołębia w pochwyconych depeszach v. der Tanna, donoszącego, że nie czuje się bezpiecznym w Orleanie...

Naraz rozlega się okrzyk straszliwy. U wrót domu stał strażnik, ochraniający tylne do mieszkania wejście; strażnik ten zdradził: — w dniu 27-ym października Bazaine podpisał kapitulacyę i nowe trzykroć sto tysięcy najazdu, uwolnionego z pod Metzu, lada chwila wyleją się na zaczynającą dopiero zaledwie tężeć formacyę pomocy południowej.

Niema sekundy do stracenia; rekruci nadloarscy otrzymali rozkaz uderzenia na Tanna, który, krępo osadziwszy się na wyżynach Culmiers (na północ od Orleanu), spokojnie oczekiwał na zaczepkę, bo zanim Fryderyk-Karol nadciągnie z nawałą metzką, bliższe armie okupacyjne Werdera z pod Belfortu (60,000), Witticha z Chartres (40,000) podążyły mu już z posiłkami.

Nie nadeszły na czas.

Werder wrócił z pół drogi, Wittich zdążył zaledwie przygarnąć szczątki zmasakrowanego w dniu 9-tym listopada Tanna — i cofając się razem z niemi zwolna starym gościńcem Joanny d'Arc, starał się pohamować, o ile możności, rozbitków i zbiegów, roznoszących przez Etampes i Longumeau popłoch pod same mury Paryża.

W niedzielę, 13-go listopada, gdy gwardye stolicy Francyi wysypały się na mustrę, gdy w złotych strumieniach rozradowanego słońca błysnęły działa na walach, gdy wśród wystrojonych odświętnie tłumów rozlegly się głosy chłopaków, sprzedających gazety:

— *La reprise d'Orléans par l'armée de la Loire!...*

Nawet ponury, wiecznie złorzeczący Goncourt zaniósł w dniu tym do swego albumu:

— Słodkiem jest życie niekiedy... I gdy z czasem wzruszenia te się wyczerpią, okrzyki przebrzmią, ognie wygasną — ach, jakże okropna, jak bezdenna zapanuje wtedy na świecie nuda, nuda i nuda!

Takich uśmiechów fortuny z pod Culmiers było aż kilka—i po każdym noc niepewności i zwątpienia zapadala grubsza i ciemniejsza jeszcze, niż przedtem, po każdym przybywały tylko świeże mogiły za wałami miejskiemi, a ubywała stęchła mąka ze składów rządowych. Zamilkły gromy na widowni południowej, zaplоną razem łuny na niebie północnem.

Pod Amiens w dniu 27-ym listopada zawiązuje się bój frontowy, rozciągnięty na dwadzieścia osiem kilometrów wzdłuż; Paryż już jest na wyłomie pod Vinncennes. Champigny (30-go listopada). Linia przed Amiens przełamana, miasto wzięte, ale jednocześnie rozlega się głuchy pomruk od strony południa: to Chanzy odpowiada na zaczepkę Fryderyka Karola, która po dwu dobach nieustającej rozprawy skończy się 4 go grudnia o godzinie 10-ej wieczorem na ponownem zajęciu Orleanu przez Niemców. Nie wcześniej też niż o północy z 4-go na 5-y

ustąpi i mieszczuch paryzki z ostatniej piędzi gruntu, zdobytego pod Champigny.

Raz jeszcze teraz załegnie dokoła cisza złowroga i skamieniała—goniec nikczemnej śmierci w jamie więziennej nad niedogryzioną piszczelą przedpotopowego zwierzęcia z *Jardin des plantes*, pośród wrzasku puchnących od głodu niemowląt, pośród huczących w pustym kominie zamieci śnieżnej i trzaskających nad głową bomb. A ciągnąć się będzie ten adwent piekielny wieczność całą: sześćdziesiąt minut na godzinę, dwadzieścia cztery godziny na dobę, trzydzieści, jak obszył, dob na miesiąc—aż do 3-go stycznia 1871 r.

Przed północą z wtorku na środę 4-go stycznia forty północne zadzwoniły raz i umilkły, ryknęły raz, drugi i urwały. Wiadoma rzecz, to Faldherbe skroił Niemcom kurtę przed Bapaume i odszedł. Tak wypadło z planu, obmyślanego przez samego Gambettę. Pomysł olbrzymi.

Pod broń powołano chłopców gołowąsych i mężów siwobrodych. Bourbaki w 80,000 napadnie znienacka na korpus Werdera, oblegający Belfort, zniesie go, pozbiera załogi wschodnie, poprzecina komunikacye i wkroczy do Niemiec, gdy tymczasem Chanzy w 400,000, Faidherbe w 300,000 rzucą się ku Paryżowi...

Bitwy pod Le Mans 10—12-go stycznia i pod Montbeliard 15—17-go do grobu projekty te złożyły. Smutno przez cały ów tydzień jęczały trąbki po koszarach, żałośnie śpiewał śpiż po redutach.

I znów milczenie...

Trwało ono jednak tym razem zaledwie kilka-

naście nocnych kwadransów. A gdy zrana, przed godzlną szóstą, ponad dachami, okrytemi szronem, przeleciał granat pusty, sunący z gwizdnięciem dzikięm z Montmartre ku Wersalowi, nikt już o nic nie pytał i nikomu też o nic tak bardzo nie chodziło. W kim pozostała choć jedna kropla krwi żywej, pragnął tylko pozbyć się ostatniego naboju, a jeśli się uda, to i zajrzeć po raz ostatni w te piękne modre oczy nadsprewskie...

Rozpoczęła się bitwa pod St. Cloud i Montretout—ostatnia przed kapitulacyą—zacięta, okrutna.

XVII.

Szczątki mojego pamiętnika.

Paryż, 30 stycznia 1871 r.

Chorągwie niemieckie powiewają na fortach stolicy Francyi. Skończył się dramat. Europa wchodzi na inne jakieś tory. Na jakie?

— Germańska oświata raz jeszcze zwyciężyła oświatę romańską—powiadają.

Lecz w grze była nie oświata, tylko broń, siła orężna, organizacya wojskowa. Pytanie więc sprowadza się do tego, w jakim stopniu siła materyalna narzuci swe prawa zdobyczom i postępom ducha?

Możnaby po rozstrzygnięciu tej kwestyi odwołać się do dziejów. Uczeni niemieccy chętnie to czynią. Przeszłość po dwakroć stanęła juz po stronie teutońskich pierwiastków rozwoju: najpierw w epoce upadku Rzymu, następnie w walkach z Napoleonem I. Godnem jest przytem zaznaczenia, że wpływ tych zwycięztw germańskich stawał się coraz mniejszym

i coraz słabszym, skutki zaś były coraz posępniejsze i nędzniejsze.

Cóż dzisiaj z trzeciego rzędu tryumfu wyniknie?

Zimno mnie przejmuje. Od czterech dni żywię się okruszyną owsianego chleba i filiżanką zabielonej czemś kawy, którą mi na kredyt co rano przynosi gospodarz hotelu. Żołdu zrzekłem się w dniu ogłoszenia rzeczypospolitej; broń gwardzisty złożyłem onegdaj w ręce zdziwionego p. Vicherot'a, męża dzielnicy Panteońskiej, który słodkiemi swemi oczyma zapytywał mnie, czym zwaryował...

Zadłużyłem się w czasie oblężenia do stu franków u Seweryna Elżanowskiego, na tyleż u Edmunda Chojeckiego. Nie wiem, czy dziesięć franków weszło z tych kwot do mojego ciała. Prawda i to, że nabyłem kiłka książek, które jutro lub pojutrze odprzedam za pół ceny. Podłe życie nędzarza z temi zachciankami i narowami wielko-pańskiemi! I zkąd to we mnie? Dziatwa wyrobniczego gminu miałażby u nas podążyć śladami butnej, rozrzutnej, nierządnej szlachty?

Zabiegł przed południem Stefek Żelazowski. W bitwie 19-go stycznia po zdobyciu przez Francuzów północnej części St. Cloud, wyżyn Garches, zamku Buzenval i po wzięciu reduty Montretout, która była rodzajem Mont-Valerien w ręku oblegających, powstała w Wersalu panika. Sprowadzono z St. Germain-en-Laye grenadyerów i gwardye królewskie, ściągnięto rezerwy z pod fortów południowych i z pod St. Denis. Król, następca tronu, Bismark, sztab główny — wszystko to wyniosło się

z Wersalu na gościńce boczne do Noisy i Marly, zostawiając główne drogi odwrotu dla parków artyleryi i szpitali, które już wyprzątać zaczęto. Kiedy zaś na linii bitwy ukazało się prawe skrzydło Francuzów pod generałem Ducrot, które miało najdłuższy dystans do przebycia od Asnières i Courbevoie do Nanterre i kiedy korpus ten zdobył Rueil — bitwę uważać było można za stanowczo wygraną. Aż dotąd Francuzi obywali się bez artyleryi polowej; w robocie były tylko karabiny, bagnety i siekiery saperów; korpusy generałów Vinoy i Bellemare (lewe skrzydło i środek) po razy kilka chłodną bronią wyrzucały Niemców z oszańcowanych wyżyn. Ale obecnie artylerya już była niezbędną dla rozpędzenia zmieszanych w jednę grubą masę pułków bawarskich, poznańskich, pruskich, które się bezładnie skupiły po za lasem, na równinach od Ruquencourt od Selle i Bougival, wzdłuż drogi z Wersalu do St. Germain-en-Laye. Niestety, zagłodzone konie nie mogły się wygramolić na płaskowzgórze Garches-Montretout, gdyż ślizgawica była okrutna. Ciężka mgła, od rana sprzyjająca zaczepce Francuzów, zasłoniła obecnie wypartego z głównych stanowisk nieprzyjaciela; lękano się uderzać na swoich, bo upojeni zwycięztwem Francuzi rwali się dość bezładnie do boju.

Około 2-ej po południu nieprzyjaciel wyrównał nieco zbałwanione swe szyki i ławą nasunął się na swe poprzednie pozycye, stracone przed południem; złamał prawe skrzydło Francuzów, ale ich ścigać nie mógł również dla braku artyleryi, w części już cofniętej. Ducrot zreformował się, otrzymał posiłki i bój wstępny nanowo rozpoczął. Tymczasem śro-

dek Francuzów w Garches i lewe skrzydło w Montretout i St. Cloud odparły wroga, zrobiły jeszcze jeden krok naprzód. Ponowne to zaakcentowanie wygranej ożywiło do najwyższego stopnia Francuzów; kolumny świeże, z tyłu nadchodzące, miały czas posilić się żywnością dla Niemców przygotowaną i w ogień wskakiwały bez komendy. Pod wieczór baterye Ducrot'a (do wspólki z bombami Mont-Valerien) wyprażały nieprzyjaciela ze zwalisk Rueil i Bougival i prawe skrzydło wyrównywał zakwestyonowany front boju, żywo postępując napızód, kiedy się naraz dały słyszeć sygnaly do odwrotu. Trzeba je było powtórzyć po razy kilka, aby wojsko uwierzyło. A jednak, jak zapewnia Żelazowski, innej rady nie było. Trochu, powiadomiony już był o walnej przegranej Faidherbe'a pod Saint-Quentin (19-go stycznia) i parcie Paryża przez Ponterse i Compiegne dla podania mu dłoni nie miało żadnego celu.

Armia cofać się nie chciala. Dobra jej połowa, pomimo widocznego niebezpieczeństwa, nocowała na pobojowisku, obficie krwią zroszonem. Montretout opuszczono dopiero 20-go; w Saint-Cloud, ostąpionem zewsząd, Niemcy armatami zdobywać musieli dom po domie; park Buzenval, za którego ogrodzeniem murowanem zasiadło odciętych kilka batalionów gwardyi, odzyskano dopiero 22-go zrana, gdy obrońców nie stało. Legło tam pod gruzami i kilkunastu naszych rodaków.

Okropne rzeczy opowiada Żelazowski o uporze i zaciętości Francuzów. A niepodobna nie ufać jego słowom.

W ciągu oblężenia po razy kilka przemykał się

on do Wersalu i wracał ztamtąd, przynosząc nam listy, a obronie narodowej depesze. Niezrównanej odwagi i zręczności człowiek. Potłuściał nawet przez te kilka miesięcy; schudnie zato z pewnością po wojnie.

Dzielnica łacińska, do której się przeniosłem z Batignolles, opuściwszy batalion 207, wygląda dziko. Bombardowanie dało się tu we znaki stokroć ciężej, niż na północnej połowie Paryża. Wrota powywalane, balkony poobrywane, w powietrzu wiszące, dachy posiekane. A zdawało się, że strzały tak były rzadkie. Raz tylko byłem świadkiem pękania bomby na ulicy Gay-Lussac, tydzień temu. Odgłos jak w piorunie trzaskającym o parę kroków, mniej tylko dźwięczny, bardziej wrzaskliwy i ochrypły. Pocisk wpadł był przez okno do opuszczonego domu i zaraz ztamtąd buchnęły kłęby dymu. Kilku przechodniów miało twarze okrwawione od szkła szyb, strzaskanych na siekącą mączkę.

31 stycznia.

Śmieszną rolę odgrywa dziennikarstwo, ilekroć w ubocznych widokach oszczędzenia społeczeństwu przykrości zamydla mu oczy. Dzisiejszy „Siècle" szeroko się rozwodzi nad „zawieszeniem broni" i „konwencyą," podpisaną w Wersalu przez Favre'a w dniu 27-ym stycznia w nocy, pomimo, że jeszcze zeszłej niedzieli 29-go Pyat i Rochefort w swoich organach podali warunki najprostszej i najczystszej kapitulacyi: wszystkie forty, oprócz Vincennes, będą zajęte przez wojska niemieckie, Paryż zapłaci 200,000,000

kontrybucyi, pułki liniowe mają być rozbrojone, oprócz gwardyi, która broń zachowa, w Bordeaux zbierze się Zgromadzenie Narodowe dla oświadczenia w ciągu trzech tygodni, czy Francya zgadza sią na ustąpienie Alzacyi i Lotaryngii i na zapłacenie Niemcom 6,000,000,000 franków odszkodowania. Nawzajem, Bismark pozwolił na uwolnienie generala Trochu i jego szefa sztabu, niejakiego Schmitza, od zajmowanych posad. Gubernatorem Paryża jest obecnie gen. Viuvy, który sprawil kartaczową łaźnię batalionom „niezadowolonym." Ciekawa rzecz, z czegoby miały być zadowolone—*battus et contents?* Czy może z tego, że po uplynięciu trzech tygodni, gdyby w Bordeaux stawiano opór, cała dorosla ludność męzka stolicy pójdzie w jasyr „z postronkiem na szyi?" Bo co do czynnej roli Paryża, to o niej nie może być mowy w chwili obecnej: z fortów Prusactwo rozniosloby miasto na kawalki.

2 lutego.

Szczegóły o bitwach Bourbakiego pod Montbeliard (9, 15 i 17-go stycznia) i Faidherbe'a pod St. Quentin (19-go) są zaprawdę oburzające. Tu i tam sily Francuzów w trójnasób byly większe od niemieckich: przytem nieprzyjaciel pod Montbeliard mial do czynienia za sobą z tyłu z załogą Belfortu; pod St. Quentin znów zaszła podobno zdrada: generał Lecorcete bez rozkazu opuścił pole walki.

Najspokojniejsi ludzie zaczynają oburzać się i złorzeczyć. Na Belleville wznoszono wczoraj barykady. Cóż z tego, skoro głód dokucza cięższej niż

przed kapitulacyą. Żywność nadejść ma dopiero za dni kilka, inni utrzymują nawet, że znacznie później. Dowóz niemożliwy z powodu popsutych dróg, prowincye zaś podbite (wschodnie) wyjęte są na mocy „konwencyi” z liczby tych miejscowości, w których rządowi i osobom prywatnym wolno robić zakupy zboża dla stolicy. Piękna perspektywa! Tymczasem w galeryach Palais-Royalu i pod arkadami ulicy Rivoli włóczy się wśród słoty dym z kominów, w którego zapachach czuć najwyraźniej pieczone kurczęta, świeżą pietruszkę, jajecznicę z wędzonką, szynkę moguncką i bodaj czy nie comber zajęczy z pod Wrześni i Miłosławia.

Jakimże to sposobem? W oknach piekarni na rogu ulic Richelieu i Quatre Septembre wystawione przepyszne bułeczki, z białej jak śnieg marymontki... po 2 fr. za sztukę. A w styczniu powiadano, że takiej gomułeczki nie kupiłbyś i za sławnego radziwiłłowskiego dukata. Hej, gdyby nie rozjeżdżające patrole i nie działa obrócone z fortów na miasto, byłażby z tego kasza, była!

8 lutego.

Z zaledwie zaczętym pamiętnikiem stać się może to samo, co z kroniką Nestora. „W roku od stworzenia świata 6360 (powiedziano w niej) powstało miano ziemi ruskiej... *naczasia prozywati Ruska zemla*, w latach zaś 6361, 6362, 1363, 6364 6365 nic się nie stało—*niebyst' nicztože.*” Dopóki rozlegały się bębny, dopóki hałasowały armaty, zdawało się, że nastąpi przemienienie praw przyrodzonych; obecnie

zamilkły burze — i oto doznajemy takiego wrażenia, jak gdyby i niebo nad nami zamarło i ziemia pod nami aż do wnętrza wystygła. Ludzie błąkają się, jak cmentarne cienie, twarze mają wydłużone, policzki zapadłe i blade, spojrzenia zniechęcone.

Życie, zamiast wracać, cofa się i umyka. Największa z potęg—handel, rusza się niechętnie, ospale. Trzebaby żydów z Polski sprowadzić. Oniby nas kartoflami i kapustą obłożyli zaraz na drugi dzień po otwarciu bram miejskich... Pisał Jeż. Zacny, kochany Jeż! Natychmiast odpowiedział. Przenosić się do kraju nie radzi jeszcze obecnie. Zachęca do pracy w dziennikach warszawskich lub u Gumplowicza, mówi o Jenikiem, Lesznowskim, Lewentalu, Probowałem tego dobrego w r. 1869 w Galicyi. Jakąś rozprawkę o Bakonie przyniosłem po wydrukowaniu na pokaz Chojeckiemu. Wziął w palce, przerzucił, wygladził arkusz i odezwał się:

— Dobry papier, co?

Usta skrzywiły mu się nieznacznie do pary ze spojrzeniem twardem, w którem igrał lekki promyk ironii. Rzeczywiście, okropnie trudno wdrożyć się w utarty ich tryb pisania, jednakowo dobry i oschły, o najwyższych i najniższych zagadnieniach bytu. Zresztą, z jakiej tu beczki zacząć? Naturalnie z faktu, że pierwsza bomba, która do Panteonu wpadła, urwała głowę Henrykowi IV... Wysnuć ztąd można cały traktat o pokoju wieczystym, wierszy z 800, „po trzy kopiejki,” zapewnia Jeż. Wyśmienity interes, dalibóg. Dwadzieścia cztery ruble na te czasy za jednę głowę Henryka IV!...

5 lutego.

Przypomniałem sobie nasze zebrania herbatnie u hr. Władysława, syna Andrzeja. Od początku wojny hrabia przyjmował z angielska: ser, chleb, masło, polędwica—ale nie wytrwał do końca, spuścił na ser w grudniu, na chleb w wigilię Bożego Narodzenia; zato chleb był bez ości jeszcze około Nowego Roku.

Zajrzałem do niego wczoraj i zastawszy Eugeniusza Rydzewskiego, dałem się uprosić na kolacyę. Był królik w czerwonym sosie — ce, ce, ce! We trzech przegawędziliśmy do 2-ej z północy.

Szczególny człowiek z tego hrabiego. Spokojnie, chłodno, równo płyną mu słowa nawet wtedy, gdy oponenci zasypują żarem. A jak się to u niego wiąże i jednoczy zawsze w górujący wniosek, że dobro i sprawiedliwość wszędzie ostatecznie przeważyć muszą.

— Ależ, proszę panów, to są dzieje odwieczne, inaczej stać się to nie mogło i nie może na żaden sposób, taką jest nieubłagana i nieustająca logika wypadków. Chciejcie tylko rozważyć, że nie istniałby żaden proces życia, gdyby złe ustępowało bez walki, gdyby zbrodnia zadawalać się miała ciągłą przegraną. Cóżby to była za siejba cywilizacyi, gdyby i nawóz pod nią i orka były zbyteczne? Tem pewniej i tem bujniej prawda wzejdzie, im głębsze ugnojenie. Nie znaczy to, uchowaj Boże, żebyśmy świadomie i dobrowolnie do gnojanek dali się nakładać. Ale trudna rada; ludom niekiedy się zachciewa iść raczej na podściół i mierzwę, niż do żaren,

w których Opatrzność chleb przyszłości miele. A proszę i temu także nie wierzyć, by rezultaty dla ludzkości pożyteczne i pożądane nie składały się niekiedy wbrew najroztropniejszym i najdokładniej wycelowanym widokom szkodników. Alboż barbarzyńcy średniowieczni myśleli o odnowieniu świata i rozszerzeniu Ewangelii, kiedy upadające państwo rzymskie podbijali?... Żartujcie sobie, panowie, z takiej historyozofii berlińskiej! Germanin ówczesny niczem bynajmniej się nie różnił od dzisiejszego—upędzał się za złotem i obłowem, dla złota i obłowu, nic więcej—a jednakże pomimo to Opatrztność...

Rydzewski wtrącił tu jakieś przypuszczenie pogańskie, dotyczące zbyt długich terminów.

— A bo proszę drogiego pana, króciutką i wątłą trzcinką nie wywalić większego kamienia, nie zaczerpnąć beczki wody kubełkiem ręcznym z artezyjskiej studni. Opatrzność dobiera narzędzie, odpowiadające wytkniętemu do otrzymania dziełu. Zapalić słomkę i chcieć, ażeby od tego ognia stopniały lody podbiegunowe, toć przecie nie zgadza się ani z rozumowaniem *a priori*, ani z doświadczeniem życiowem.

I ciągnął tak bez przerwy, wśród porównań, przykładów i cytat z Herdera, Vico, Macaulay'a, Cycerona, Tucydydesa, z agronomii, z mechaniki, z paleontologii...

Stokroć jednak więcej nad tę erudycyę, istotnie niepospolitą, pociąga ku sobie hr. Władysław niezmąconą swą łagodnością i dobrocią. Niczem go nie draśniesz, niczem nie zdziwisz, niczem nie zrazisz.

Wszystko już wie z góry i wszystko zawczasu przebaczył.

— O, bo proszę pana, co rośnie, to pękate i sękate być musi—powiada.

6 lutego.

Gorączka i szał ogarnęły nanowo bataliony gwardyi, szczególnie te, które są świeższej formacyi—przedmiejskie, z Belleville, Montmartre. Powodów wymieniają kilka. Gambetta ogłosił protestacyę przeciwko ugodzie z dnia 27-go stycznia („zawieszenie broni", oddanie fortów), do dzienników dostała się jednocześnie rozmowa dyktatora z jakimś korespondentem „Daily-Telegraph", stwierdzona później w okólniku do prefektów, jako „autentyczna." Rozmowa ta odbyła się przed kapitulacyą Paryża, okoliczności od tej daty zmieniły się zupełnie, a jednak pisma rewolucyjne powtarzają ją jako dziesięcioro przykazań patryotyzmu „na dzień dzisiejszy." Na murach porozlepiano z niej wyjątki, głoszące ogromnemi literami:

„Choćby się nawet Paryż poddał, nie zmieni to biegu wypadków i kolei dalszej obrony...

Mieszkańcy stolicy sami raczej spalą miasto i zrobią z niego drugą Moskwę, niż wpuszczą doń wroga... Oprócz armii paryzkiej (?), mamy w tej chwili pod ręką pół miliona wojska (czy razem z korpusem Bourbakiego, który się schronił do Szwajcaryi?), nadto kontyngens z r. 1871 jeszcze nie tknięty, żonatych nie powoływaliśmy wcale... Mieć ztąd będziemy 3,300,000 ludzi zdrowych i silnych... Bro-

ni posiadamy poddostatkiem, pieniędzy również i nie wiadomo jeszcze, kto z nas wytrwalszy: Niemcy, czy my... Dla nas każda doba składa się z 24 godzin, nieprzyjacielowi zaś każda godzina podwaja tylko trudności... Anglia żałuje obecnie, że wcześniej Niemcom wojny nie wypowiedziała (?)..."

Ostatni frazes zupełnie niezrozumiały. Przerzucam w czytelni dzienniki, zestawiam depesze świeże i dawniejsze—ciemność.

Była w Londynie mowa o rewizyi traktatu paryzkiego, o odbudowaniu Sewastopola, o wpuszczeniu floty rosyjskiej na morze Czarne, ale się to już utarło, aczkolwiek Anglia istotnie opierała się zmianie, popierana przez Francyę. Wyznać muszę, że pięć miesięcy odgrodzenia od świata poprzecinało nici zdarzeń do tego stopnia, że cała polityka wygląda, jak jedna zagmatwana szarada. „Siécle" przytacza np. mowę Klaczki w parlamencie austryackim z dnia 30-go stycznia, która jest prawdziwym hieroglifem. Mówca analizuje dyplomacyę pruską i ostro potępia przymierze z dworem berlińskim...

Jakie przymierze, czyje przymierze? Austryi?... Austrya w związku z Prusami?... Po Sadowie, po wypchnięciu ze związku niemieckiego, po tylu upokorzeniach i klęskach? Ależ chyba inna już dynastya panuje nad Dunajem. Cóż się stało z cesarzem Franciszkiem-Józefem? W mowie nie ma o nim wzmianki. Nie żyje? Juściż gdyby żył, toby sobie przypomniał: i dwie konwencye gasteińskie, i spotkanie się w Ochs, i punktacyę nikolsburską, i podróż do Salzburga, i pobyt w Paryżu w r. 1868... Czego też

ten biedny człowiek nie widział w swem życiu i czego nie przeniósł, nie przebolał!..

Pod wieczór wpadł gospodarz, wołając, że na dole czeka jakiś pan znaczny... *un beau, grand monsieu*... Zbiegam—Walerek! poczciwy Walerek. Matka z gub. Grodzieńskiej zdążyła mu już nadesłać pieniądze, więc utrzymuje, że jest ze mną w kuzynowstwie, że mi coś winien.. Spłonąłem, jak dziewica na widok... zorzy. Niech i tak będzie, ale naprawdę, nic sobie nie przypominam. Przyniósł także „przepustkę”, poświadczoną przez awanposty niemieckie, i chce, żebyśmy jutro razem zwiedzili Meudon, St. Cloud. Trudno to będzie: noszę jeszcze mundur gwardzisty, sprawiony nie za francuskie pieniądze. Walerek, tak samo jak i Jarosław, mniema, że drugi okres wojny, drugie z kolei jej stadyum nieuniknione. Z uśmiechów jego widzę, że dotąd nie pozbył się myśli odegrania kiedyś roli Napoleona I. Ma wprawdzie kilka rysów jego charakteru: rzutkość, przytomność myśli, szerokość poglądu, zdolność szybkiego postrzegania wytycznych i górujących w sytuacyi stanowisk. Ale nauką fachową nie dorównywa Jarosławowi. Przytem idealista, serce za miękkie. Na Napoleona I, z którego planami i mapami jada i sypia, zapatruje się oczyma Mickiewicza (prelekcye) — w wojowniku nie interesuje go zresztą ani mąż stanu, ani myśliciel; najświeższe z tego zakresu prace nie są mu znane.

7 lutego.

Dzień prześliczny, prawie wiosenny, słońce z po za opadających mgieł sypie ciepłe promienie, ale wy-

cieczkę do St. Cloud, na pobojowisko 19-go stycznia, trzeba odłożyć.

W dziennikach pustki. Gambetta się usunął. Zarysowuje się walka obozów zachowawczego i rewolucyjnego na tle zbliżających się wyborów. Drwiny z odezwy Gambetty o bitwie pod Montretout:

„Francuzi doszli do rogatek wersalskich, zburzyli wszystkie szańce niemieckie, zagwoździli armaty, w Sekwanie je zatopili...”

Rzeczywiście, cokolwiek to za śmiałe.

Żywność zaczynała napływać, ale tylko wozami, głównie od Bawarczyków, są i dezerterzy, ale... Mieliśmy tych panów w oblężeniu. Zagadkowo później zniknęli.

9 lutego.

Pogoda.

Późnym wieczorem wróciliśmy wczoraj z wycieczki do miasteczka Viroflay pod Wersalem; przedtem, na lewo, na prawo od mostu Sèvres, zwiedziliśmy Meudon i St. Cloud. Wszędzie samc zwaliska. Przed okopami, w Auteuil, tu i owdzie znaleźć jeszcze można dach cały nad głową; od Poriet-du-Jour de Sèvres, ani jednego. Za mostem w Sèvres, w stronę Wersalu i po bokach, jak okiem zajrzeć, rumowiska. Pałace w Meudon i St. Cloud wyglądają jak stare cegielnie spalone: czworobok ścian, dziury zamiast okien, w środku zwęglony gruz i niewysłowionego gatunku śmiecie, wszystko razem okopcone, połamane, straszne. Pod wywalonemi plotami kału-

że od stopniałego śniegu, plamami przejmującemi dreszczem.

Ślady walki rozpaczliwej po ogrodach, wśród posiekanych drzew, widoczne. Dostęp do Montretout przecięty. Oddział piechurów pruskich szedł tam na zmianę od Ville-d'Avray; stąpali ciężko, niemal mechanicznie, krokiem takim, jak kiedy u nas pęcak tłuką, w stępie—mierzonym na sekundy, kołysali się przytem jak kaczki, nachmurzeni, twardzi, w kaskach lśniących, dużych, podobnych do „kiwerów", jakie wojsko nosiło za panowania cesarza Mikołaja I-go.

Z niewielkiego wzgórza pomiędzy Marnes i Garches Wróblewski opisywał pole bitwy i główne momenty starcia. Rozumiałem zaledwie piąte przez dziesiąte. Kiedy Żelazowski na mapce pokazywał, to było dość jasno; na gruncie obecnie nie sposób całości pochwycić. Nie widać ztąd nawet sławnych owych wyżyn Garches, na które artylerya francuska dostać się nie mogła, ale to dlatego, że stoimy na płaskowzgórzu, które atakowane było przez Francuzów ztamtąd, od strony Nanterre i Courbevoi, z nizin półwyspu Gennevilliers.

W opowiadaniu chłopców, świadków jakoby bitwy, schodzi to wszystko do rozmiarów nad wyraz drobnych, niemal komicznych; była mgła, dużo dymu, huk, wojsko biegało jak oparzone, wszczął się pożar w St. Cloud, w Rueil, w Buzenval—i tyle. Purpurowe od krwi i obłąkania oblicze boju, tragedya konania i wysileń spazmatycznych—uciekły, została tylko szara i grzązka gruda powszedniości, gdzieniegdzie kartaczem przeorana. Bruzda jutro zniknie; za rok zaś, za dwa, wśród tych rozkosznych,

cudownych ku wiośnie wzgórzy, zaszemrzą słodkie szepty kochania, słowik pieśń swą wywiedzie, po altanach z róż i winogron brzękną kielichy... I to jest życie. Tymczasem piętrzą się tu szeregi kopców świeżych, parujących na słońcu...

12 lutego.

W kilku poszliśmy na sekretne posiedzenie batalionowych dowódców gwardyi narodowej. Roztrząsano pytanie, co dalej czynić. Osób obradujących było ze 30, tyleż upoważnionych słuchaczy. Rozprawy toczyły się dość porządnie. Przewodniczący skreślił najpierw obecny stan obrony, według dokumentów pochodzących — jak się wyraził — „od tych panów z Bordeaux" (zgromadzenie narodowe). Zanotowałem ołówkiem liczby grubsze, w zoaokrągleniu.

Armia północna, Faidherbe'a, cofnąwszy się po bitwie St.-Quentin do Havru i Cherbourga (w odłamach), składać się może, razem z wolnymi strzelcami z 60,000, załoga Belfortu—do 25,000, pojedyncze oddziały w Bourges, Nevers i na południu Francyi—300,000 z górą. Co do zasobów (amunicya, broń, pieniądze, kontyngens 1871 i t. d.), obliczenia Gambetty („Dailly Telegraph") stwierdzono w zupełności.

Główne powzięte uchwały: Dla zasłonięcia siebie od fortów, wpuścić Niemców do Paryża i następnie rozpocząć z nimi bój uliczny, barykadowy; obecnie przeszkadzać rozbrojeniu wojska; ściągnąć armaty w bezpieczne miejsce (na Montmartre); orga-

nizować na tyłach nieprzyjaciela oddziały partyzanckie; starać się o wycofanie zdolniejszych oficerów z niewoli; jednać podoficerów wśród wojsk południowo-niemieckich etc.

Opuściłem zgromadzenie z niewymownie przykrem uczuciem smutku, obawy, prawie niesmaku. Skutek to może niezdrowia. Nie powinienem ubocznie nawet włazić w rzeczy, na których się nie znam, do których nie mam przekonania, ufności, przytem, rzeczywiście, nie zdrowi mi się. Coś fantastycznego mnie napastuje. Miewam po nocach początki halucynacyi; melancholia trapi we dnie. Na osłabienie ciała wpływa niemało i zgryzota moralna. Nie powierzam jej tym kartkom. O rodakach, o blizkich niegdyś znajomych, radbym mówić wyłącznie dobrze, a to jest w wielu razach niemożliwe. Mniej sumienny zapewne w stosunkach prywatnych, posuwam drażliwość w sprawach zbiorowych, publicznych, do chorobliwego stopnia...

Aluzya to do rzeczy, nie mających nic wspólnego ani z polityką, ani z Francuzami... Ciężko u nas dotknąć się do czegokolwiek po za zażyłością prywatną, w pospolitem znaczeniu towarzyską. Przed samą wojną było się trochę lekkomyślnym—płaci się teraz stokrotnie...

13 lutego.

La nuit porte conseil — powiadają. Mogłoby to w niektórych razach znaczyć tyle, co nasze „mądry Polak..." Ale mnie—to i polskość nie dopisuje. Dziś zrana wczorajsze złe przeczucia pierzchły i dałem

się namówić na co innego. Jakaś konferencya. Jest ona o tyle tajemniczą, że jeden wychodzący drugiego poleca i za niego ręczy. Ręczył tym razem Oleś Wernicki, dusza serdeczna, głowa matematycznie dobra, ale hałaśliwość programotologiczno-demokratyczna—okrutna. Na katedrze sztabowiec — tak przynajmniej zapewnia Oleś, znający się na galonach (bo w oblężeniu gwardyę uważał za hetkę pętelkę). Przedmiot odczytu: „Dawne i nowe sposoby prowadzenia wojen masowych." Najpierw Holandya za Ludwika XIV: powodzie, obławy na czółnach, machiny hydrauliczne; dalej Zyżka i taborytyzm czeski: wozy piekielne, młockarnie cyklopowe, pancerze nasypywane piaskiem; następnie Hiszpania za Napoleona I: zasadzki nocne, noże święcone, strzały zatrute...

Po kwadransie dostałem takiego bólu głowy, że łzy do oczu napływały. Słyszało się o tem nieskończoną ilość razy, a z ust o wiele wymowniejszych. Widziało się coś i w zastosowaniu. W bitwie pod Montretout (19-go stycznia) owe młockarnie, owe tabory czeskie (lokomotywy zbrojne) przechadzały się przecież po szynach kolei od Nanterre do Rueil i napowrót. Może być istotnie, że teren doświadczeniu nie sprzyjal, ale przecież teren znany byl znacznie wcześniej od wynalazku lokomotywy, a zatem kompromitującej parady z wozami nieobrotnemi, którym lada pagórek zaimponuje, należało sobie oszczędzić... Jednakże szczegóły techniczne — to drobiazg wobec ogólnej sytuacyi w chwili danej. O nowych problematach sztuki wojskowej trzeba było myśleć we wrześniu, najpóźniej w październiku 1870 r. Prze-

dewszystkiem atoli trzeba było zużytkować aksyomaty stare: nie trzymać gwardyi w zamknięciu, nie tracić drogiego czasu na ćwiczenia formalne, podrzędne, nie zjadać chleba na centnary podczas najpiękniejszych, ciepłych dni jesieni, ażeby później, w zimie, wydzielać go na uncye etc.

W każdym razie, jeżeli z punktu strategicznego są rzeczywiście jakiekolwiek widoki powodzenia—to i owszem. Ale jeśli to tylko dyplomacya, zwlekanie, liczenie na Anglię, na Europę, to w takim razie najlepiej, zamknąwszy oczy, złożyć rozum zbiorowy do teki świeżo mianowanego naczelnika państwa, p. Thiersa. Wszak on widział tę Europę zblizka, rozprawiał z nią, ściskał ją za ręce, żałował z nią może w ciemniejszym jakim kątku, przeto i wie najlepiej, co o niej trzymać, czego się od niej spodziewać i do czego jest ona zdolną po za obrębem „przyzwoleń", „zachęt", „obietnic"—wyszafowanych już dawniej do ostatniego strzępka na koszuli.

Prelegent napomknął zaledwie o ewentualnościach pomocy „dyplomatycznej", ale tak jakoś niezręcznie, żeśmy zaraz wynosić się zaczęli—Oleś przed innymi.

17 lutego.

Przypuszczać należy, że charakterystyczne sceny z posiedzeń członków rządu obrony narodowej podczas oblężenia komunikuje obecnie dziennikom jeden z kolegów generała Trochu i p. Jules Simona, dwu ofiar największej w obecnej dobie i zawziętej złośliwości publicznej. Można się niekiedy uśmiać

z tych figlów. Koncept genezyjny polega stale na przeciwstawieniu bretońskiego ultramontanizmu generała Trochu „żydowskiemu" ateizmowi Cremieux, Favre'a, Maguin'a, szczególniej zaś Jules Simona, któremu „judaizm" miał być faktycznie dowiedzionym na którejś sesyi... Dobrą polowę prasy obiegł rozkaz dzienny generała Trochu do wojsk, zalecający ścisłe przestrzeganie pacierzy porannych i wieczornych, nowen, godzinek i t. d. To poważna strona faktu, humorystycznemi są jedynie komentarze nad dyskusyą onego rozkazu w gronie pięciu, czy sześciu „żydów", z wyjątkiem naturalnie Rocheforta, który tak zręcznie manewruje, że pod względem religijnym nie jest, jak dotąd, na żadną stronę poszlakowanym; zresztą nikt go nie posądza, czy przekonań, wieku, czy plci...

Dano mi dziś do przeczytania list, adresowany z Bordeaux: *A. Monsieur le Comte Tessier de Mottay, Ingenieur*, w którym, wśród rozmaitych prawdopodobieństw i nieprawdopodobieństw znajdował się kawałek tej osnowy:

„Panowie Bismark i Thiers, obaj otrzymali od Europy mandat, dążący do tego, aby uwolnić społeczność tegoczesną od żywiołów skrajnych, od ultrasów białych i czarnych. W jednem miejscu będzie rozpalone ognisko zachowawcze, w drugiem rewolucyjne, niejako dwa bieguny elektryczne, tu plus, tam minus. *Exaltadosów* błękitnych pośle się na pożarcie panterom czerwonym, *exaltadosów* czerwonych rozdrapią następnie lisy błękitne..."

W oryginale wygląda to bez porównania ła-

dniej, ale wyciągu robić na razie nie wypadało. A przytem gra to tylko słów, jak i wiele innych.

Gdyby to tak było łatwe, jużbyśmy przed traktatem westfalskim stali się wszyscy bezkolorowymi i bezkrwistymi do zera. Robi się to, ale powoli, stopniowo, wiekami, nie zaś sekundami; po kropelce wyssiemy kiedyś z siebie boski nektar różnic życiowych, ale do końca jeszcze daleko.

St-Germain-en-Laye, 28 listopada 1871.

Po moim powrocie z Cherbourga dwaj koledzy, Jan Daraszkiewicz i Józef Brzeziński, zawiadomili. że mają dla mnie zajęcie: zapalanie lamp nafcianych w obozie, w lesie. Przybyłem z Paryża pieszo wczorajszego wieczoru, późno, przez St.-Cloud, Garches, Vaucressore, Roqueucourt (omal-że nie zbłąkałem się w tem miejscu) i Marly. Znalazłem wszystko wedle obietnicy: i serce i pracę. Józef w rozmowie oznajmił, że część moich papierów zniszczyć musiał zaraz po poskromieniu Komuny, nie istnieją z pewnością; poprzednich parę kawałków, zdaje się, że gdzieś zostało, obciętych nieco... A cóż, zaczniemy nanowo. Komuna, to sielanka. Periton, ot dopiero moje uszanowanie.

XVIII.

Siła i honor.

Kiedyż właściwie poddał się Paryż? Nikt z jego mieszkańców nie wiedział o tem dokładnie w ciągu nawet lat kilku po podpisaniu traktatu frankfurckiego. Niemcy zajęli forty, oparkaniono ich później na dni parę wzdłuż Pól Elizejskich, kupcy paryzcy zaliczyli pełnomocnikom Bismarcka najpierw 50, później 150 milionów. Pogłoski o tem włóczyły się wprawdzie jak dym błędny po ulicach i pismach, ale ani municypalność Paryża udziału w tem nie brała, ani lud z bronią na ramieniu, z nietkniętą artyleryą gwardyi w odwodzie, nie dawał na to świadomego swego zezwolenia.

Stolica o jednem tylko była przeświadczoną do głębi dziejowo wyrobionego w sobie sumienia, a mianowicie, że kapitulacyę od niej wydusi jedynie rzeź, że podpis jej na dokumencie hańby znajdzie się dopiero w potokach krwi, na cmentarzach w Buttes Chaumont i Père Lachaise. Nie inaczej się też na-

prawdę stało. Tymczasem dyplomaci, mężowie stanu, generalowie, bankierowie, naradzali się tam ze sobą, jeździli, pisali, odsetki obliczali. O czem radzili? jakie za to odsetki brali? Wykryło się to ostatecznie dopiero w latach 1876—1878, kiedy wydane zostało olbrzymie dzieło w czternastu tomach p. t. „Historya polityczna i wojskowa wojny 1870—1871“, napisana zbiorowemi siłami: Benedettiego „Moja misya w Prusiech“ (t. I), Cousin de Montaubana (hr. Palikao) „Dwudziesto-czterodniowe ministeryum wojny“ (t. II), Bazaine'a „Armia reńska“ (t. III), L. Rolina „Wojna w zachodnich prowincyach Francyi“ (t. IV), generała Vinoy „Oblężenie Paryża“ (t. V), wice-admirała De la Roncière-Le Noury „Marynarka w czasie oblężenia (t. VI), generała D'Aurelle de Palladines „Pierwsza armia loarska“ (t. VII), Chanzy'ego „Druga armia loarska“ (t. VIII), generała De Pallières „Orlean“ (IX), Jules Favre'a „Rząd obrony narodowej“ (t. X, XI, XII), księcia Bibesco „Belfort, Reimes, Sedan“ (t. XIII), „Mapy i plany generalnego sztabu francuskiego“ (t. XIV).

Dla zamknięcia tych kilku luźnych kartek wspomnienia, cała ta wystawność erudycyjna na nic się nie przyda. Pozostający do omówienia okres dni kilkunastu aż nadto jasno przedstawia się w źródłach niemieckich, w pamiętnikach Fryderyka III, Bismarcka, Buscha, Moltkego.

W cztery dni po ostatnich walnych rozprawach pod Montretout i St-Quentin, ówczesny następca tronu pruskiego, nie żyjący dziś ojciec cesarza Wilhelma II, zapisał w swych notatkach:

„23 *stycznia.*

„Po południu nagle przybywa Favre i staje u Bismarcka“.

„24 *stycznia.*

Ogromne wrażenie. Na naradach u cesarza, w których uczestniczą Moltke, Rohn i ja, donosi Bismarck, że Favre proponuje zawieszenie broni, oddanie fortów i złożenie broni przez armię. Przyznał się, że w Paryżu panuje głód, że wybuchły rozruchy... Favre boi się wrócić do Paryża, a na kolacyi u Bismarcka je jak wilk. Nakazano nam milczenie, ale gdy wracaliśmy od cesarza, Bismark gwizdał sygnał, używany przy zakończeniu polowania, co wystarczyło... aby poznać sytuacyę“.

„25 *stycznia.*

Favre znów przybył i, jak Bismarck utrzymuje, sam jeden zjadł obiad, przygotowany na trzy osoby; podobno zabrał wczoraj z sobą pólgęski...“

Oryginalna, zaiste, historya, ale nastręczająca w niektórych kawałkach niejakie wątpliwości. Większych rozruchów w Paryżu, w dobach od 19-go do 23-go stycznia włącznie, już nie było; zwyczajne zaś wrzenie w dniu 22-im, kiedy się dowiedziano o bohaterskim zgonie batalionów opuszczonych w parku Buzenval, rychło poskromił Vinoy z pomocą wojska liniowego i marynarzy normandzkich. Głód pa-

nował srogi, to niezaprzeczone, ale „ogromne wrażenie“ w sztabie pruskim i w otoczeniu cesarza Wilhelma I wypływało z innej chyba jakiejś, nieznanej bliżej „niespodzianki“, gdyż o istnieniu w Paryżu niezmiernej masy artykułów spożywczych wszelakiego miana i pochodzenia, ukrytych po fortach i katakumbach, rządowe sfery powzięły podobno pewniejszą wiadomość dopiero w dniach 30 — 31 stycznia. W składach owych nie znajdowały się wprawdzie „pólgęski“, ale słoniny, solonego mięsa, kaszy, mąki, sucharów, znalezione tyle, że starczyłoby tego do Zielonych-Świątek. Bismarck w rozmowach przy stole, zapisanych przez Buscha, kilkakrotnie zaświadczyl, że Paryżanie, po urzędowem ogłoszeniu zawieszenia broni „nic od Niemców brać nie chcieli, pomimo, że konali z wycieńczenia. Prowiant zdobyty odprzedano następnie dostawcom paryzkim ex-officio“, przyczem, w tychże rozmowach zaznaczono, że „panowie ci porobili olbrzymie, milionowe fortuny w ciągu dni kilku...“ A intendenci pruscy? — o nich naturalnie nie ma mowy. Wreszcie, co do owego „strachu“, z jakim Favre wracał z Wersalu do „swoich“, przykre to uczucie pochodzić mogło (oprócz sprawy przeładowania fortów słoniną i zbożem) z nazbyt wyraźnego zaproszenia Bismarcka na „polowanie“ — do współki. Sam szef kancelaryi niemieckiej tak rzecz tę w parę dni później opowiedział:

„Powiedziałem do Favre'a:

— Zdradziły was losy... *vous avez été trahi par la fortune.*

Spostrzegł się na ironii, lecz odrzekł tylko:

— Komu to powiadasz, panie hrabio! Za jakie dni trzy sam zaliczony zostanę do zdrajców...

Dodał przytem, że położenie jego w Paryżu ciężkie. Więc ja mu zaraz na to z ofertą:

— Wywolajcie powstanie, dopóki macie armię, ażeby je stłumić... *provoquer donc une emente, pendant que vous avez encore une armèe pour l'etouffer...*

Spojrzał na mnie przelękniony..."

Oswoił się wszakże rychło. Rokowania toczyły się codzień i codzień jakiś „półgęsek" pozostal z obiadu. Pod dniem 27-m stycznia Busch pisze: „Dowiedzieliśmy się przy stole, że kanclerz przed pierwszą z południa jeździł najpierw do cesarza, następnie do Moltkego, u którego, oprócz Podbielskiego, zastał Francuzów (Favre'a i jego towarzyszy). Francuzi odjechali do Paryża o czwartej, wrócą zaś jutro w poludnie dla podpisania kapitulacyi..." Busch oglądał właśnie akt ten ciekawy, nie mający sobie równego w archiwach oszustw międzynarodowych. Egzemplarze jego, niemiecki, dla Niemców przeznaczony, „zeszyty nitkami o kolorach francuskich, z wiszącą pieczęcią Favre'a, skladal się z dziesięciu stronic wielkiego arkusza..." Egzemplarz francuski, dla Paryża i Bordeaux (z pieczęcią Bismarcka, czy też Podbielskiego) ze sznureczkiem o barwach niemieckich, był bez porównania mniejszy. W liczbie innych „zamilczeń" nie obejmował on zastrzeżenia, iż „zawieszenie broni nie rozciąga się na departamenty Doubs, Jura, Côte d'Or"—to jest te, w których walczyła jeszcze dzielna, niepokonana dotąd armia wogeska i koncentrowala się reszta wojsk Bourbakiego

pod dowództwem generała Chichaut. Kiedy więc w dniu 28-m stycznia pod wieczór francuskie siły zbrojne w promieniowych miejscowościach odebrały, na podstawie egzemplarza o barwach niemieckich, rozkaz zaprzestania kroków wojennych, Moltke, na mocy egzemplarza o kolorach francuskich, polecił skupionym i nie zajętym swym korpusem natychmiast uderzyć na „wyjętych z pod prawa", rozproszyć ich i znieść.

O Paryżu—to i wcale może wzmianki nie było w dokumencie o barwach niemieckich z pieczęcią... Bismarcka, czy Podbielskiego?... W dniu wielce spiesznego, o zmierzchu dokonanego zajęcia fortów (29-go stycznia), ukazało się na murach łakoniczne tylko zawiadomienie, że w celu zarządzenia wyborów do Zgromadzenia narodowego stanęło zawieszenie broni... z pewnemi oczywiście „tymczasowemi" ustępstwami na rzecz wojsk niemieckich pod Paryżem. W dniu 30-m i 31-m, a następnie w dniu 1-m i 2-m lutego zjawiło się parę niewinnych „dopełnień"—i tuż zaraz, obok ostatniego z nich, prokłamacya od imienia Gambetty, podpisana przez jakiegoś Laurien, głosząca: „Francuzi!" Wszystko zostaje po dawnemu: walka na zabój do ostatniego żołnierza! Okres zawieszenia broni będzie użyty na wzmocnienie trzech naszych armij. Do dnia wyborów zdołamy wszystko obrócić na naszą korzyść. Francya potrzebuje takiego rządu, któryby pragnął wojny i gotów był ją prowadzić *coûte que coûte*..." Czegóżby jeszcze więcej mógł chcieć Paryżanin? Wzięto się do niego tak gładko, tak wykwintnie, że mógł się uważać niemal za zwycięzcę.

Istotnie, przewidziano to i obliczono najdokładniej w głównej kwaterze niemieckiej. Pewnego dnia zgadalo się o potędze frazesu, o jego wpływie na tłumy. Bismark powiedział: „Możesz Francuzowi wlepić dwadzieścia pięć kijów i bylebyś podczas tej operacyi prawił mu o swobodzie, honorze, godności ludzkiej, on gotów ci przysiądz, że go nikt palcem nie tknął, że mu włos z glowy nie spadł...". (Busch, 27 stycznia).

XIX.

Na rozstaniu się.

Wybory do Zgromadzenia narodowego odbyły się w środę, 8 lutego 1871 roku, bez poprzednich obrad sejmikowych, według ordynacyi wyborczej, okrojonej i odartej z zasadniczych znamion dostojności i powagi, przez usunięcie z niej przepisu o niezbędnem minimum głosujących. Jedyny w okręgu wyborca mógł stanąć do urny, podać kartkę na siebie i otrzymać mandat na godność prawodawcy kraju, w trzech czwartych częściach zajętego przez nieprzyjaciół. Była to oczywista parodya wszechwładztwa narodowego i Paryż usunął się od niej niemal pogłównie. Natomiast nader szumny w maskaradzie udział „telegraficzny" wzięły skarane na amputacyę prowincye Alzacyi i Lotaryngii. Kiedy jednak wiadomość o „wspaniałomyślnem pozwoleniu Alzato-Lotaryngczykom ukręcenia na siebie postronka" (słowa ks. Walii), przyjęto w świecie cywilizowanym śmiechem nieco za grubym, kanclerz nie-

miecki natychmiast się opamiętał i poprawił: kazał ogłosić, że okólnik do gubernatorów zabranego kraju o wolności opinii obywatelskiej wysłano wielkorządcy w Strasburgu omyłkowo. Wadliwa, skażona w formie i źródle swego powstania Konstytuanta, zebrała się w Bordeaux 12-go lutego i po załatwieniu czynności wstępnych (ponownej detronizacyi Napoleonów, odebrania władzy od rządu obrony narodowej i t. d.) powołała Adolfa Thiersa do prowadzenia układów z nieprzyjacielem o pokój. Należał się ten zaszczyt „gorącemu zwolennikowi fatalizmu rewolucyjnego w dziejach, wielbicielowi wszystkiego, co błyszczy, wznosi się i ma siłę, chwalcy każdego systematu, każdej partyi idącej w górę i nieubłaganemu prześladowcy doktryn i dzieł, pochylających się chwilowo ku upadkowi"—jak się o nim jeszcze w r. 1861 wyraził jeden z pierwszorzędnych krytyków historycznych Francyi nowoczesnej, Laufrey *(Revue nationale*, t. IV, str. 337). Jako działacz polityczny i mówca parlamentarny, stał się też Thiers za panowania Napoleona III najdzielniejszym budowniczym olbrzymiego pogromu 1870 roku — on, którego owcza pochopność gawiedzi do szerzenia raz w obieg puszczonych liczmanów prawdy podziśdzień czyni uosobieniem protestu przeciwko tym klęskom.

Ułaskawiony zawistnik początkowej chwały drugiego cesarstwa, pochwycił on w ciele prawodawczem za siekierkę polityki anti-narodowościowej i uderzał nią w niecofnione już od r. 1859 zjednoczenie Włoch, nieprzeparcie w tymże kierunku budzącą się opinię publiczną w Niemczech, bo wiedział, że nowożytna ta zasada ustroju państwowego, przekaz

przełomowej epoki 1789—92, legla w podwaliny restauracyi napoleońskiej, że w niej tkwiła moc i znaczenie cesarstwa, żywotna jego racya bytu i wpływu. Robocie tej marnej, do śmieszności z początku nieudolnej, zaczęły stopniowo wtórować rozmaite odcienia uraz republikańskich i legitymistycznych, a to w miarę, jak sąsiednie organizmy narodowe, włoski i niemiecki, rosły, skupiały się, potężniały.

Po Sadowie kopacze stali już z motykami przy kamieniu węgielnym, podważali fundamenty z budowy napoleońskiej. Słowa rekryminacyjne nic nie kosztowały, a wiara w rozum Napoleona slabła na ich odgłos w tym samym zupełnie stosunku, w jakim wzmacniało się zuchwalstwo zachęcanych i ośmielonych przez to sąsiadów.

Najprostsza logika wskazywała, że dla poskromienia uroszczeń tych postronnych, cesarstwo sprzeniewierzyć się musi własnej swej przeszlości, schować do kieszeni chorągiew emancypacyjną, wystąpić na zewnątrz zbrojnie.

Wojna 1870 r. brzmiała w każdym zwrocie, w każdej zgłosce mów thiersowskich od r. 1867 do 1869. Nie slyszały tego jedynie tlumy „oświecone,“ ów motłoch napół czytelny, karmiący się lekturą bieżącą, z dnia na dzień, nie umiejący związać w całość nietylko onegdajszego doświadczenia z widokiem na jutro, lecz nawet depeszy wczorajszej z improwizacyą dzisiejszą krętacza-trybuna.

A kiedy wojna, napierana falą tysiąca najróżnorodniejszych namiętności i wyrachowań, zawisła nad Francyą nieodbita i nieubłagana jak wyrok, na który się już złożyły wszystkie wyrazy motywów, wów-

czas nieuczciwy szermierz przerzucił toporek z prawej ręki do lewej i obuszkiem w łeb rznął tę wojnę, którą sam przedtem podstępnie przygotował.

Tym zwrotem kuglarskim zapewnil sobie tytuł „sternika ocalonej z rozbicia nawy ojczystej" (słowa na jego pogrzebie), Francyi zaś podstawił nogę w najbardziej krytycznej chwili: zasiał nieufność w sercach jej obrońców, zaćmił w umyslach współrodaków świadomość bezpośredniej, prostej powinności, zachwiał odporną energię narodu, odslonił przed malodusznością drogi możliwej do upozorowania zdrady...

W Wersalu ukazal się negocyator, poprzedzony przez swego ministra Favre'a, w poniedziałek 20 lutego. Przyjęto go tym razem bardzo dobrze. Za pierwszą i za drugą bytnością, przed podróżą po oberżach europejskich i po podróży, zachodzić mogly niejakie uprzedzenia, niepewności....

Hrabia Beust z Kłaczką radzil w Wiedniu, Gorczakow krzywil się i kręcił glową w Petersburgu, sam Thiers wiercił się i z nogi na nogę przestępował, jak gdyby w zniecierpliwieniu dyplomatycznem. Rozproszyły się obecnie te złudzenia, wyjaśnily się horyzonty, znikły z czoła zmarszczki i cienie.

— Bardzo mily staruszek — powiada następca tronu.—Wyraża się plynnie, bez manier i frazesów, patrzy rozumnie przez ostre swe okulary.

— Wcale przyzwoita babunia — dodaje Bismark. — Podoba mi się najzupełniej; rozprawia dorzecznie, rozsądnie, zrozumiale, głowa to nie dla proporcyi... Żąda ustępstw, ulg... Ależ bezwarunkowo, bezwarunkowo. Spuścimy coś z ośmiu miliardów. Russell przywiózł listy od królowej Wiktoryi, nade-

szły prosto od jej dostojnej córki kronprincowej. Anglicy utrzymują, iż czuliby się osamotnionymi wskutek całkowitego znicestwienia ich sprzymierzeńca krymskiego. Chcą, żebyśmy przy Francyi zostawili Metz lub Belfort... Bezwarunkowo, bezwarunkowo! Belfort odstąpimy. Ale nie za darmo... Miliardzik wyżej, kiłka miłych nocy w Paryżu... Bezwarunkowo. Trzeba przecież, żeby i pan Thiers bez gościńca do Bordeaux nie wracał. Zasłużył i on przecież na jakąś ćwiartkę świeżego mięsa z tych swoich jatek od Wissemburga do Montretout...

I targu dobito po uporczywszej i dłuższej niby-to mitrędze.

Przed zgromadzeniem narodowem Thiers stanął w postawie przygnębionej, ocierając zapłakane szkiełka nadoczne, z miną ofiary za cudze winy—ale też zarazem... jako „liberator." Przynosił ojczyźnie w darze miliard — z sześciu zażądanych, tudzież bohaterskie mury teraz dopiero zdobytego przez Niemców Belfortu.

We środę, 1-go marca, wśród cieplej, słonecznej pogody, 30,000 mieszanej załogi niemieckiej, po odbytej w lasku Bulońskim paradzie, wkroczyło do wnętrza stolicy Francyi, z rozwiniętemi sztandarami, z muzyką, w stroju gałowym, ze śladami kredy i cegły na hełmach.

Po co i za co ten zbytek wyrafinowanego urągania? po co i na co ten nadmiar obelgi bezcelowej? Rachunki odwetowe były wszak w danym zakresie ściśle wyrównane i oddawna zamknięte. Za pobyt Napoleona I w Berlinie wojska pruskie z lichwą zapłaciły sobie w siedem lat później. Francya od tej

doby nie wyrządziła Niemcom ani krzywdy, ani impertynencyi jakiejkolwiek.

Nad Sprewą więcej z tej strony miano dowodów życzliwości, niż niechęci. Zkądże zawziętość; na kogo?

W pierwszych dniach lutego, gdy otwarto bramy Paryża, sztab pruski oburzał się na dziennikarzy paryzkich, że wymyślali niestworzone rzeczy, że gburowato wytykali ucisk, nadużycia, kradzieże w pro wincyach zabranych. Bismark ogłosić kazał w *Monitorze* wersalskim „napomnienie,” przez oficerów zaś oznajmił władzom stolicy, że „za każdy artykul napastniczy z fortów posłana będzie bomba.”

Nie usłuchano. Aha, więc to obecnie owe 30,000 mają dziennikarzy przekonać, mają im pokazać... np. co?—Nie do uwierzcnia! nie do przypuszczenia!

Sprawozdania urzędowe i prywatne najzgodniej stwierdziły, że w ciągu 48 iu godzin okupacyi Paryża mieszkańcom złamana szpiłka nie zginęła, drzazga z płotu nie splonęła.

Ale... nie sposób swawoli posunąć niżej. Byłoby to jakieś rozwydrzenie najbrutalniej pojętego, najbezczelniej wykonanego rozpasania żołądkowego — wybuch, rzekłbyś, niestrawności, powstrzymywanej z urzędu od dnia 19 stycznia... Najfatalniejszem zaś ze wszystkiego to, że umysł i dowcip powołano do wspólności z demonstracyą dziką: zdejmowano portrety familijne i wykrawano z nich na miejscu warg otwory... A trwało to rozbestwienie wtedy nawet jeszcze, gdy wojska, po przyjęciu traktatu przez Zgromadzenie w Bordeaux, opuszczaly bliższe okolice Paryża...

XX.

Poezya odwetu.

Paryż, 21 stycznia 1872.

Rok temu oblężona stolica Francyi dojadała ostatni kawałek niedopieczonego jęczmienno-plewnego chleba. Ponure, zgryźliwe wspomnienie! Chłód, głód, niewiara, niesnaski trapiły ciało, nękały duszę. Tubylcy, paryżanie z rodu lub siedziby, radzili sobie jako tako jeszcze. Kupiec lub przemysłowiec (szczególnie piekarz), od pięciu tygodni, to jest od kiedy zwąchał, czem to pachnie mąka rządowa, urządził sobie miary i wagi w ten sposób, ażeby mu na każdym kliencie coś się na zapas okroiło. Hrabiowie, księża, stare dewotki, młode rozkosznice — wszystko to ratowało się jakoś: jeden kanarkiem, drugi papugą, inni pokojowym pieskiem. Galganiarze *(les Chiffoniers)*, korzystali z kości uzbieranych po ulicach, z których zupa wyborna.... Ale napływowa warstwa stolecznego mrowia, zwiędły nad książką ród literatów, bibliofilów, starożytników, niewykwalifiko-

wanych doktorów prawa, medycyny i teologii, napróżnoby sobie suszył głowę nad wynalezieniem filozoficznego kamienia, któryby im grube foliały przeobrazil, jeżeli już nie w soczyste polędwice, to choć we flaki, chrząstki, wątróbkę...

Naturalną jest rzeczą, że w takich warunkach rozpoczęte pod koniec roku 1870 wykłady uniwersyteckie, nie mogły zapowiadać wielkich korzyści. Zaraz na wstępie się okazalo, że profesorom nie służy wymowa, sluchaczów zdradza pamięć i uwaga; tamci skąpili gestów, ci nawet konwencyonalnych oklasków. Bo i w samej rzeczy, jaka tam może być gestykulacya naczczo; jakie klaskanie przy huku bomb pękających. Prelegenci zawieszali więc, jeden po drugim, ledwo rozpoczęte wykłady.

I dobrze robili, gdyż inaczej niejednemu przyszloby przemawiać do szklanki wody, zwyczajowo stawianej na trybunie. Wytrwali ci tylko, których przedmioty dawaly się naginać do żywych, aktualność zaczepiających aluzyj politycznych.

P. Lenieut, profesor literatuy francuskiej w Sorbonie, należał do liczby tych właśnie szczęśliwych wyjątków; a choć mówil o karlowińskim okresie poezyi, umial w nim jednakowoż odszukać tyle przynajmniej interesujących cytat i przystosowań, ażeby i wówczas w 1872, odnawiając swój kurs, mial prawo postawić w programie wykładu zaszczytne dla siebie pojaśnienie i ciąg dalszy.

Wstępując na katedrę, z której się nie dał usunąć Prusakom, wręcz zapowiedział słuchaczom (a zaraz poznał, że to dawni), iż się nie zrzeka metody

użytej w roku zeszłym, nie przestanie pod zasłoną specyalności robić wycieczek na grunt żywotnych zagadnień obecnej chwili.

— Poezya—mówił—szczególniej zaś jej odcień, którym się zajmować będziemy, tak się ściśle wiąże z życiem publicznem, że byłoby występkiem rozpatrywać pomniki dawnej naszej literatury jedynie z estetycznego stanowiska. Przytem, brylantowe i koralowe wdzięki plastyki stylowej drażnićby mogły strapione nasze zmysły... Aż nadto mieliśmy już nietylko błyskotek, ale i błyskawic...

Podnosząc tedy przerwane wojną domową studya ze starożytnych podań i przekazów, to tylko wybiorę i panom przedstawię, co obok wewnętrznej, po szkolnemu pojętej wartości, miało w swoim czasie wpływ na dziejowe zdarzenia, lub jest dziś tych zdarzeń tłómaczeniem i dopełnieniem. W ten sposób potrafimy złączyć piękno z pożytkiem, a z małżeństwa tego otrzymać pewną ilość wskazówek, dotyczących obowiązku, jaki ciąży na tych wszystkich, komu los przeznaczył goić świeże rany, krajowi zadane...

W końcu XVIII wieku, pisał Champport: „We Francyi nie ma społeczeństwa, ani narodu, z tej prostej przyczyny, dla której bandaż nie jest bielizną..." W takiej chwili i my żyjemy. Położenie nasze, jeżeli mu się tylko dobrze przyjrzymy, jest rozpaczliwe... Czy dlatego, żeśmy stracili kilka departamentów, że nam zagrabiono kilka miliardów i kilka domów spalono? Ktoby tak sądził, brałby skutek za przyczynę. Nie, panowie—nie ruiny materyalne nas gniotą, gniecie poniewierka pojęć, zasad i uczuć, któ-

re stanowią siłę, cześć, zbawienie społeczeństw. Wewnątrz siebie nie mamy żadnego punktu oparcia; pobudki i dźwignie moralne w nas wymarły. Suchy, płaski utylitaryzm w życiu praktycznem, w nauce, pobożny kosmopolityzm u góry i barbarzyński komunizm u dołu—to nas zabija.

Zniechęcenie i lenistwo do poważnych badań; zamilowanie zysku przy źle zrozumianej i gorzej jeszcze obserwowanej godności zbiorowej i osobistej; pogański, dziki egoizm klas wyższych; spodlenie kobiety; ciemnota ludu... a zsumowawszy, szalona pogoń za przesadą, zbytkiem i wyrafinowaną rozkoszą; te są przyczyny naszego upadku; tu szukać mamy rozwiązania zagadki, dlaczego Prusacy na ziemi francuskiej spotkali tylu zręcznych w szpiegostwie pomocników, tylu grzecznych i uprzejmych dla siebie komendantów fortec i tylu (zręcznych) usłużnych dostawców żywności, brak której — wszak to pamiętacie panowie — zmusił Paryż do haniebnej kapitulacyi..."

Pomimo tego, profesor nie traci nadziei, geniusz Francyi, zmęczony czuwaniem nad łożem schorowanego narodu, zasnął—ujrzawszy, że i pacyentowi na dłuższy zebrało się spoczynek. Ale się zbudzi; są potemu niemylne przykłady w przeszłości.

Nie pierwszy to raz staje Francya nad przepaścią. Zdarzały się i cięższe jeszcze niemoce; przemogło zawsze — zdrowie. Na jedno, Bóg wie zkąd spadłe słowo, na jeden ostrzejszy okrzyk, na jednę niby to znaną, niby całkiem nową nutę, naród wstawał, przecierał oczy, piętrzył barki... i szedł naprzód. Przewodniczyła mu poezya życia, poezya czynu..

Odwet na szatanie omdlenia, zepsucia i grzechu, był wówczas krótki, zwięzły, doraźny.

Historyę tej to właśnie kapłanki, p. Lenieut postanowił uwydatnić, odziać ciałem i krwią komentarzy, zaczerpniętych ze skarbca narodowych tradycyj, obyczajów; wierzeń i całość przeznaczyć na użytek przyszłej, jeśli się zdarzy, potrzeby. Z tego, co dotąd już zrobił, wnosić można, że to będzie jedyna w swoim rodzaju galerya starych i nowych obrazów, parami ustawionych; na każdym widzisz pochodnię poezyi i na każdym płonie ona inaczej. Tu jako jutrzenka unosi się nad długim, upartym chaosem średniowiecznych bezprawi; tam ubłogosławieniem otacza skroń Joanny d'Arc, na stos wstępującej; ówdzie bojaźliwie, drżąco, blado — chociaż znać najwyraźniej, że nie grobowo, że nie ostatniemi oddechy migocze wśród ciemnej, strasznej, piekielnej nocy św. Bartłomieja... Ale to tylko jeszcze połowa cudu, lub, jeśli chce niedowiarek—połowa złudzenia, pochodzącego z zapatrzenia się na grę świateł i cieni. Zwróciwszy uwagę na dopełniającą, wykładową, komentarską charakterystykę miejsc, czasów, pojęć, przesądów etc. i domierzywszy ją do ostatniego, celowego punktu profesorskiej perspektywy, całkiem inne otrzymuje się wrażenie. Przedstawia się, jakobyś wszedł... między kwiaty, zboża, jarzyny... I w rzeczy samej, z tysiącznych głosów, to cichych, słabych i zatajonych, to burzliwie się wznoszących ku niebu w chwilach najcięższej na ziemi biedy, z pism takiego Alain Chartier, takiej Krystyny de Pisan, których sztuka rymotwórcza skazałaby na wieczne w szkolnej tece zapomnienie, gdyby autorom chodzi-

lo bylo o popis, nic zaś o obronę pospolitej sprawy i powszechnego dobra; z drobnych, ulotnych, niezgrabną ręką kreślonych wierszyków — po łacinie, po francusku, w narzeczu *d'oc*, w narzeczu *d'oïl*; zgoła z całej tej różnobarwnej i różnokształtnej dziatwy ulicznego, sielskiego, ludowego natchnienia, którego celniejszymi za dni naszych wyrazicielami byli Beranger i Delavigne; czarodziej profesor, acz nigdy nauk przyrodniczych nie studyował, stworzył prawdziwy *Jardin des plantes*. Czego tam niema! — jest nawet hipopotam, czy coś w tym rodzaju... P. Lenieut bowiem — choć zwykle tak zimny i poważny — zażartowal tu sobie z imienia i postępku prałata francuskiego, który zezwolil na spalenie dziewicy orleańskiej, a tak w porę nazywał się *de Cauchon*... Ostatecznie jednak giną przedpotopowe i popotopowe zwierzęta (pod Poitiers i Azincourt), a jak okiem zajrzysz, roi się siermiężna praca na bujnych, to żytnich, to pszenicznych łanach nauki, za któremi wstaje jasne słonko lepszej dla świata doli...

Szkoda tylko, że w blaskach tej jutrzenki utonąć muszą bez śladu i wspomnienia tegoczesne, najświeższe kwiatki *odwetowej* poezyi... Wycieńczyla się snadź gleba francuska z natchnień, których matką — nieszczęścia krajowe. Rymowane płody ostatnich czasów tak są liche, że jeśli kto i bierze je do ręki, to pewno nie bierze do serca. Obrobienie, co prawda, kunsztowne, wobec niego chropowaty wiersz średniowieczny chowa się wstydliwie, ale natomiast jakie ubóstwo myśli, jaka poziomość dążności, jakie zwietrzałe junakierstwo! Do wyjątków miernych, lecz przynajmniej nie wstrętnych, dałyby się chyba zali-

czyć głosy, od czasu do czasu tu dolatujące z zabranych od Francyi departamentów. Mam w tej chwili na pamięci dwa tomiki, wydane w Bazylei, pod tytułem *Lieder des Hasses* i *Elsässiche Sonette*. Przed wojną Alzacya posiadała jakoby dwie ojczyzny; harmonijny ten zlewek wrogich narodowości był niejako moralnym łącznikiem Francyi z Niemcami. Alzatczycy z równem współczuciem i zajęciem śledzili ruch umysłowy tej, jak i tamtej strony Renu. Kochali ziemię Schillerów i Fichtych niemniejszą może miłością od tej, w której wyrażali swoją społeczną i polityczną solidarność z Francyą. Alzacya patrzyła na rozwijające się wypadki z niewątpliwą boleścią, z nieudanym smutkiem; lecz boleść owa i smutek ów nosiły na sobie cechy filantropii, humanitaryzmu, były, jeśli tak można powiedzieć, bezinteresowne. Uczucia zaś takie rzadko kiedy zdobywają się na podniosłą, poetycką twórczość. Dopiero po klęskach Sedanu i Metzu, kiedy się następstwa wojny jaśniej zarysowały, dopiero wtedy sypnęły się złorzeczenia z tej spornej ziemi kresowej, rzetelnie przywiązanej do granic z r. 1815. Niestety, powodzenie zwycięzców rosło z dniem każdym; potęga Francyi rozsypywała się na atomy za każdym ciosem... Patrzącym zdala wydawało się, że całą sprawą kieruje coś nadzwyczajnego, przeciwko czemu ludzkie wysiłki, ludzkie gromy nawet są niczem. Przekleństwa więc ustąpiły niebawem miejsca rzewnej już tylko skardze, melancholijnej, modlitewnej tęsknocie. Dwie te fazy duchowego nastroju Alzacyi wyraziły się właśnie w *Lieder des Hasses* i w *Elsässische Sonette*...

Dwa tony, ale serce jedno; po spełnionym gwałcie mówi ono do Francyi:

Nur Klagen hab'ich, ach, und bittre Frähnen;
Und nirgend seh'ich Morgenröthe steigen,
Wo dustre Schatten riesenreich sich dehnen!...
Doch hoff'ich noch! und will es nicht verschweigen:
Ich liebe dich!...

K O N I E C.

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w DĄBROWIE GÓRNICZEJ

